NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

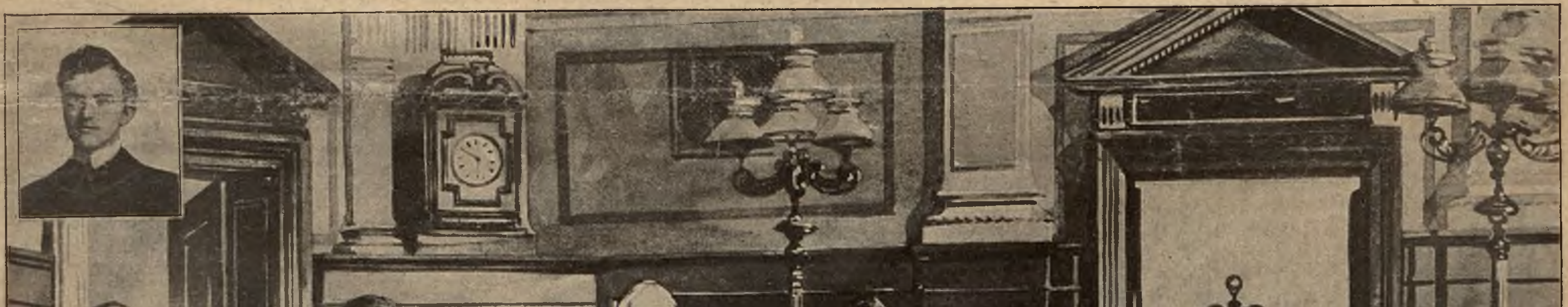
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok V. Kraków, 4 lipca 1908. Nr. 27.

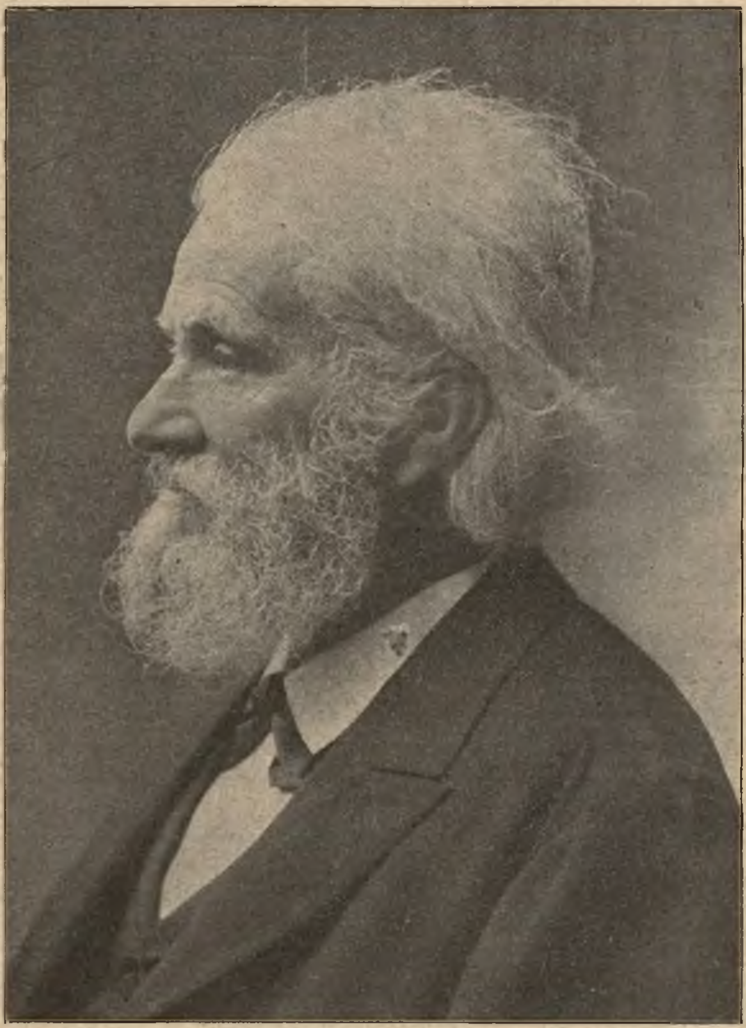
Morderca namiestnika Potockiego przed sądem.



Illustracye do procesu Siczyńskiego we Lwowie.

Rocznica urodzin syna Wieszcza.

Z czci i miłości, jaką naród polski otacza pamięć Adama Mickiewicza, spływa poważna jej cząstka na pierworodnego syna wieszcza, Władysława, który sam życiem swem i czynami na miłość społeczeństwa całego zasłużył. Dzisiaj, w siedmdziesiątą rocznicę urodzin jego, polonia paryska złożyła mu hołd w adresie zbiorowym, ze wszystkich zaś stron ojczyzny popłynęły życzenia i wyrazy uznania dla męża, który od pięćdziesięciu lat pracuje niestrudzenie na obcej ziemi dla własnego narodu.



Rocznica urodzin syna Wieszcza: Władysław Mickiewicz.

W młodzieńczym wieku wprowadzony w życie publiczne przez Ojca, z drogi tej nigdy nie zstąpił, zyskując za patryotyczną działalność co raz żywszą, powszechną wdzięczność. W dwudziestym roku życia brał już żywy udział w pracach społecznych, w latach zaś ostatniego powstania stał się jednym z najwybitniejszych pracowników emigracyjnych. Odziedziczywszy po ojcu wielkie imię, znany ogólnie z gorącego patryotyzmu i chęci czynu, wszedł w stosunki z wybitnymi działaczami innych narodów, jak z Garibaldim, hr. Telekim, gen. Klapką, i ci niejednokrotnie porozumiewali się z nim w sprawach Polski. W roku 1863 brał wybitny udział w wyprawie na Żmudź.

Jednocześnie rozwinął Jubilat, przebywając stale we Francyi, żywą działalność literacką i przyswoił językowi francuskiemu wiele arcydzieł literatury polskiej, między innemi mnóstwo nieznanych poprzednio prac Ojca. Ponadto ogłosił sporą ilość własnych prac publicystycznych o ówczesnych sprawach Polski. Zarazem zajmował się księgarstwem wydawniczem, redagując w Paryżu „Bibliotekę ludową“. Największą jednak zasługą Władysława Mickiewicza jest jego pełna pietyzmu praca nad historyą twórczości ojca, a owocem tej pracy były dwie monografie, jedna po francusku: *„Adam Mickiewicz, sa vie et son oeuvre“* a druga polska w czterech tomach: „Żywot Adama Mickiewicza“. Jego zasługą jest też istniejące przy Bibliotece polskiej w Paryżu, „Muzeum Adama Mickiewicza“. Urządzone z niezwykłą starannością, składa się przeważnie z jego własnych darów, pamiątek po ojcu, które gromadził skrzętnie przez całe życie.

W uroczystym dniu urodzin sędziwego Jubilata zasyłają mu rodacy całego świata życzenia długich jeszcze lat pracy dla dobra Narodu.

Pięćdziesięciolecie pracy lekarskiej.

Wiadomą powszechnie jest rzeczą i stwierdzoną datami statystycznemi, iż zawód lekarski należy do najbardziej wyczerpujących, że ci, którzy tej ciężkiej służbie dla dobra społeczeństwa się poświęcają, w krótkim przeciągu czasu siły swe i własne zdrowie niszczą. To też niesłychanie rzadkim jest w zawodzie lekarskim jubileusz pracy pięćdziesięcioletniej.

Rzadką taką, niezwykłą uroczystość święcił niedawno świat lekarski w Warszawie. Jubilatem był dr. Bolesław Gepner, znany okulista i naczelny lekarz instytutu oftalmicznego. Z powodu rocznicy rozpoczętej przed pół wiekiem pracy, wybili koledzy i uczniowie Jubilata na jego cześć medal pamiątkowy i wręczyli mu go wśród serdecznej owacyi. Na uroczystość tę stawił się cały świat lekarski Warszawy, z dr. Kramsztykiem na czele. Dr. Kramsztyk przemówił imieniem obecnych do Jubilata, oddając hołd zasługom jego obywatelskim i naukowym, oraz życząc długich jeszcze lat pracy



Pięćdziesięciolecie pracy lekarskiej: Dr. Bolesław Gepner.

z równą energią i pożytkiem dla tych, którzy rady jego i pomocy szukać będą.

Z okazyi rzadkiego tego jubileuszu zamieszczamy dziś portret dr. Gepnera.

Zmiany w zarządzie teatrów warszawskich.

W światku teatralnym warszawskim znowu poruszenie. Wywołała je wiadomość, od dawna z upragnieniem oczekiwana, iż dwaj kierownicy scen tamtejszych, prezes Herszelman i wiceprezes Karaffa ustępują ze swych stanowisk i przechodzą



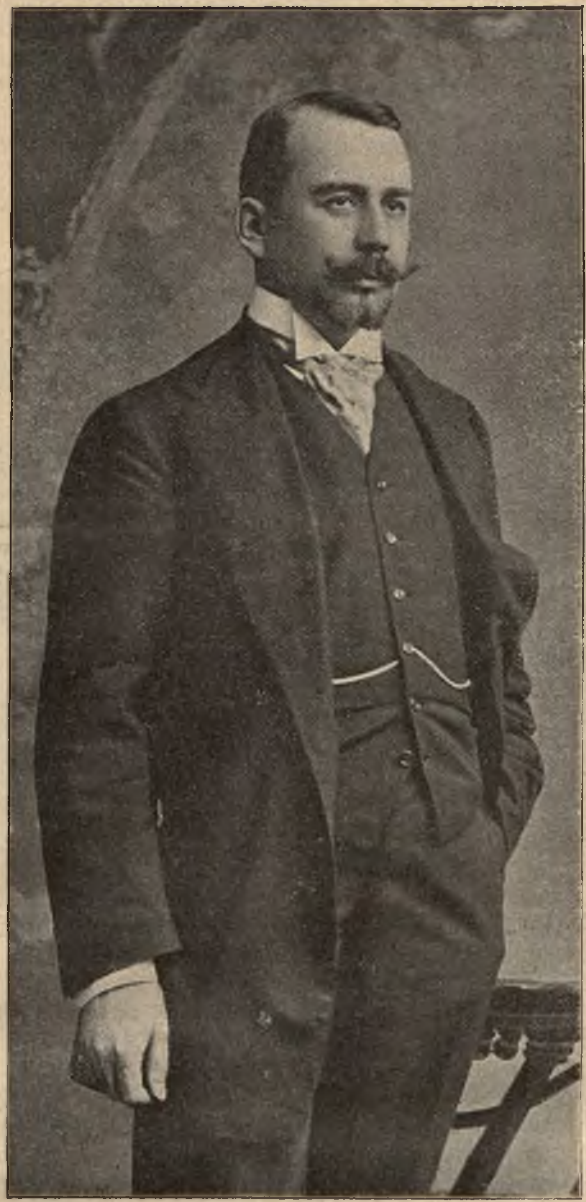
Jubileusz pracy publicystycznej: Uczestnicy owacyi, urządzonej na cześć jubilata. Radca dworu redaktor A. Krechowicki (X), 1. wiceprezes tow. dziennikarzy polskich Fr. Rawita-Gawroński; 2. przewodnicząca tow. wzaj. pomocy artystów i literatek polskich, artystka dram. Wanda Siemaszkowa; 3. rektor uniwersytetu dr. Dembiński; 4. redaktor »Słowa Polskiego« Z. Wasilewski; 5 radca Gubrynowicz; 6. konsul francuski Erazm Świerczewski; 7. poeta Władysław Bełza; 8. redaktor M. Rolle; 9. b. poseł dr. Witold Lewicki; 10. poseł Teofil Merunowicz; 11. dyr. L. Heller; 12. wiceprezydent m. Lwowa dr. Rutowski; 13, dziennikarz W. Staniszewski; 14. red. »Dziennika Polskiego» dr. Ostaszewski-Barański; 15. red. Jan Kazimierz Zieliński; 16. red. St. Rossowski; 17. red. A. Milski; 17 red. L. Szenderowicz; 19. red. dr. Alfred Wysocki; 20. red. Br. Laskownicki; 21. docent uniw. dr. Br. Gubrynowicz; 22. Br. Wysoczański; 23; red. Wojciech Dąbrowski; 24. dyrektor kolei St. Rybicki; 25. Dante Baranowski; 26 Tadeusz Czapelski; 27. redaktor »Gazety Narodowej« dr. Aleksander Vogel; red. Henryk Cepnik; 29. red. Włodzimierz Zawadzki; 30. red. Popławski: 31. red. Woynarowski; 32. kierownik biura koresp. Szydłowski; 33. red. Edmund Kolbuszowski; 34. komisarz dr. Wróblewski; 35. dziennikarz T. Gubrynowicz; 36. starszy syn jubilata J. Krechowiecki; 37. prof. Stanisław Niewiadomski; 38. młodszy syn jubilata S. Krechowiecki. (Do artykułu na str. 8.)

w stan zasłużonego spoczynku. Wiadomość ta ucieszyła nietylko personal teatrów, ale i szerokie koła publiczności warszawskiej. Rządy bowiem tych dwóch „artystycznych“ kierowników tamtejszych scen dały się dobrze we znaki i artystom i publiczności. Przedewszystkiem zaś spowodowały gruntowny upadek teatrów.

O czasach rządów spółki Herszelman-Karaffa, krążą w Warszawie nieprzeliczone dykteryjki i anegdotki, które byłyby nadzwyczaj wesołe, gdyby nie były smutne i gdyby ich następstwem nie był fatalny stan teatrów warszawskich. Spodziewać się też należy, że następca dotychczasowych rządców zajmie się szczerzej sprawami teatralnemi i przy pomocy znawców literatury dramatycznej podniesie się poziom sztuki.



Zmiany w zarządzie teatrów warszawskich: Konstanty Romanowicz Herszelman, b prezes warszawskich teatrów rządowych.



Zmiany w zarządzie teatrów warszawskich. Julian Andrejew Małyszew nowy prezes teatrów warszawskich.

Następcą tym został b. urzędnik do szczególnych poruczeń przy generał-gubernatorze warszawskim, Małyszew, człowiek młody, pełen energii, władający dobrze językiem polskim, a nadto majętny i finansowo niezależny.

Wedle wiadomości, nadchodzących z Warszawy, nowy kierownik teatrów nosi się z zamiarami wielkiej doniosłości, mogącymi rozwój tych teatrów pchnąć szybko naprzód. Między innemi ma być zniesioną posada wiceprezesa, przez co osięgnie się oszczędność 5000 rubli rocznie. Jeszcze donioślejsze mają być zmiany w kierownictwie artystycznem, oraz w składzie trupy dramatycznej. Szczegóły jednak, tych zmian dotyczące, są na razie tajemnicą. Także spodziewają się powszechnie ożywienia i rozszerzenia repertuaru. Dotychczasowi kierownicy forytowali przedewszystkiem balet i te sztuki, w których balet występuje. Działo się to oczywiście z wielką szkodą poważnej literatury dramatycznej.



Zmiany w zarządzie teatrów warszawskich: Stanisław Corbouth Karafa, b. sekretarz warszawskich teatrów rządowych.

Energia nowego kierownika, z jaką wziął się do zmiany stosunków za kulisami warszawskiemi, daje rękojmię lepszej przyszłości.



Morderca namiestnika Potockiego przed sądem: Sala audyencyonalna w namiestnictwie, gdzie mord został spełniony. Reprodukcya zdjęcia, dokonanego po zbrodni dla użytku sądu; — 1. miejsce, w którem stał śp. namiestnik Potocki; 2. miejsce, skąd strzelał Siczyński; (X) oznaczają ślady kul.

Ofiary nauki.

Badania naukowe, uważane zazwyczaj za zajęcie najspokojniejsze i najbezpieczniejsze, wywołują nieraz tragiczne wypadki, tem straszniejsze, iż zdarzają się one zupełnie niespodziewanie a dotykają ludzi pracujących dla dobra nauki.

Ofiary nauki.



Dr. Franciszek Luksch.



Kancelista śp. Longin Lipecki.



Asystet śp. Alojzy Arnost



Laborant Bazyli Marko.

Wypadek taki, wskutek którego kilka osób utraciło już życie, a reszta walczy ze śmiercią, wydarzył się w tych dniach w Czerniowcach w tamtejszym państwowym zakładzie badania środków spożywczych.

Dr. Franciszek Luksch, lekarz szpitala czerniowieckiego, zajmował się od dłuższego czasu badaniem bakcylów nosaciny, które wywołują śmiertelną chorobę tak u zwierząt, przeważnie u koni, jak i u ludzi.

Do doświadczeń naukowych tego rodzaju miał dr. Luksch w szpitalu krajowym osobne laboratoryum, w którem jednak z powodu wadliwości działania maszyny centryfugalnej, nie mógł tych badań przeprowadzić, przeniósł się tedy do instytutu uniwersyteckiego, ale i tam funkcyonowanie aparatu nie było zupełnie prawidłowem. Udał się więc do zakładu badań środków spożywczych, gdzie zaszedł właśnie straszny wypadek.

Z powodu zbyt silnego obrotu maszyny, eprówetka z bakcylami pękła, rozpryskując się po podłodze w drobne kawałki. Dr. Luksch, mniemając, że zarazki są już zabite, nie przedsięwziął natychmiast środków dezynfekcyjnych, i to okazało się zabójczem w skutkach. Dr. Luksch uległ bowiem infekcyi, jak i kilku jego pomocników, którzy zbierali potem resztki szkła. Po wystąpieniu objawów choroby, zastosowano wszelkie zabiegi lecznicze, okazały się one jednak daremnymi. Asystent zakładu Alojzy Arnost, morawianin, żonaty zaledwie od roku i kancelista Longin Lipecki, zmarli tegoż dnia. Laborant zakładu, Bazyli Marko, leży w agonii, sam zaś dr. Luksch poddał się natychmiast po wystąpieniu na jaw owrzodzeń wypaleniu zakażonego miejsca. Zdawało się więc na razie, że życie jego zostało uratowane, niestety jednak okazały się ponowne objawy zakażenia, silniejsze niż poprzednie. Wskutek tego przewieziono chorego w specyalnym, izolowanym wagonie do Wiednia celem systematycznego leczenia.

Dr. Luksch, świadom całego ogromu swej winy, napisał sam doniesienie karne przeciw sobie do prokuratoryi państwa. Sprawa więc cała będzie rozpatrywana przez sąd, który stwierdzi stopień przestępstwa winowajcy wypadku.

W ostatnich chwilach nasunęły się podejrzenia, iż zarazki nie były bakcylami nosaciny, lecz daleko straszniejszej choroby, a mianowicie dżumy. Choroba nosaciny bowiem przedstawia zupełnie inny przebieg, niż można to było obserwować u zmarłych, przytem nie powoduje ona tak raptownej śmierci, lecz ciągnie się przez kilka dni.



Fot. M. Münz, Lwów.

Morderca namiestnika Potockiego przed sądem: Gmach sądu krajowego karnego we Lwowie, gdzie rozprawa przeciw Siczyńskiemu się toczyła.

Przeciw pojedynkom.

(Do illustracyi na str. 9.)

Przyszli historycy za znamienny rys epoki, którą obecnie przeżywamy, będą mogli podać potężny rozrost idei etycznych, wzmożone poczucie sprawiedliwości.

Za objaw tego może posłużyć błędne dawniej pojmowanie istoty honoru, które nakazywało ludziom chronienia go z bronią w ręku w tak zwanych pojedynkach. W ostatnich czasach obudził się i przeciw temu prąd, który chce zastąpić fałszywe mniemanie słusznem poczuciem sprawiedliwości i istotnej ochrony jednostki przed zniewagą ze strony drugiego.

Tę potrzebę zaniechania pojedynku odczuwają już wszystkie narody, które w łonie swojem potworzyły szeregi towarzystw, zwalczających tę przestarzały zabobon, protegowaną przez wojskowych.

Przed kilku dniami odbył się w Budapeszcie międzynarodowy kongres antipojedynkowy, na którym nastąpiło jakby zrzeszenie usiłowań poszczególnych towarzystw. W kongresie tym wzięły udział najwybitniejsze jednostki wszystkich społeczeństw.

Zaznaczyć tu należy że i u nas ruch antipojedynkowy znalazł wielu zwolenników.



Morderca namiestnika Potockiego przed sądem

Dr. Teofil Okuniewski, jeden z obrońców Siczyńskiego.

Tajemnice wielkiego świata.

POWIEŚĆ.

Napisał Czesław Radomski.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

3 (Ciąg dalszy).

— Uciekasz, podły!—krzyknął Karol. Podły!.. podły!

Wyraz „podły“ rozniecił gniew w sercu Zygmunta, zawsze jednak szlachetny i panujący nad oburzeniem, stanął u stóp tarasu w pozycyi obronnej i oczekując na natarcie przeciwnika, zapytał go z rycerską godnością:

— Czyś pan gotów?

— Już!... dalej!

Teraz walka, na nowo rozpoczęta, stała się straszną. Szpady aż po gardy zwierały się i wiązały, nie rozłączając się z sobą niemal ani na moment, chociaż raz wznosiły się w górę, to w dół opadały. Walczący dotykali się niekiedy prawie zdyszanemi i dyszącemi piersiami. Poczem odskakiwali, aby zaraz następnie uderzyć na siebie z wściekłym impetem. A jednak dotąd żaden z nich nie odniósł nowej rany.

Zofia oprzytomniała niespodzianie. Czołgając się po stopniach, zsunęła się na żwir, pokrywający — między dwoma trawnikami pod tarasem — przestrzeń wolną i drogę, wiodącą do muru nad Wisłą. Tu, patrząc na walczących, uklękła i przejęta rozpaczą, jęczała:

— Ależ przestańcie... to okropność!... Czyn wasz jest czynem bezbożnym... Mój bracie!... mój mężu!... Ulitujcie się nademną... Przestańcie!...

Karol, pomimo zręczności, odwagi i wprawy, z jaką bił się ciągle, czuł jednak, że słabnie, że siły jego wyczerpują się w walce z zręczniejszym, odważniejszym i wprawniejszym od siebie przeciwnikiem. Już raz zasłaniając się od ciosu, o mało nie upadł na ziemię. Zrozumiał, że za chwilę może uledz, więc zmęczony i dyszący, krzyknął drżącym głosem:

— Papo! papo!... ratuj!

Hrabia pospieszył mu z pomocą.

Dotąd, jako fechmistrz doświadczony, patrzył spokojnie na walczących i nie poruszał się z miejsca, przekonany był bowiem, że Karol, uczeń pierwszorzędnych szermierzy paryskich, musi pokonać nieznajomego i położyć go trupem w lojalnie toczącym się pojedynku. Tak ze względu na córkę, jak i poniekąd na odpowiedzialność sądową, pragnął, aby bój nosił na sobie cechy rozprawy honorowej, nie mającej, materyalnie i zewnętrznie przynajmniej, charakteru mordu... Lecz teraz nie mógł się już wahać. Niebezpieczeństwo groziło jego synowi... a przytem wszystkie ich zamiary obracały się w niwecz, jeśli uwodziciel córki zwycięży. Wydobył więc nóż myśliwski z pochwy i szedł ostrożnie naprzód, a oczy jego pałały jakimś kocim blaskiem. Zofia to spostrzegła. Chciała krzykiem ostrzedz kochanka, lecz nagle... jakby zdławiona zmorą senną... zemdlała znowu i padła jak długa na drogę; hrabia zaś w tej chwili stanął za Zygmuntem i silnem uderzeniem wbił mu nóż w plecy pod szyję... Krew buchnęła z rany na suknię Zosi, a Zygmunt runął martwy obok niej na ziemię.

W pierwszej chwili obaj Wielohradzy stali patrząc na siebie nieprzytomni, bladzi, przerażeni i szczękający ze strachu zębami... Ojciec nóż wypuścił z ręki, syn szpadę... Mordercy!... Popełnili morderstwo!...

Wtem we dworze jakieś drzwi skrzypnęły...

Karol odzyskał nagle właściwą sobie ohydną odwagę. Pochwycił szpadę i przebił nią piersi Zygmunta.

— Co czynisz? — szepnął hrabia, strwożony i drżący.

— To na intencyę Zosi. Chodzi przecież, żeby myślała, że zabiłem go uczciwie... w pojedynku...— uśmiechnął się szyderczo — cios bowiem przez papę zadany...

— Masz słuszność!... masz słuszność!... Nie pomyślałem o tem... Lecz co poczniemy z tym trupem?

— Czy czujesz się na siłach, żeby odnieść Zosię do domu?

— Sprobuję — odparł Wielohradzki cichym, ledwie dosłyszalnym głosem.

— W takim razie, to już ja sam załatwię się z tym nędznikiem.

— Dobrze... bo co do mnie, czuję... że nie miałbym ani sił, ani odwagi...

Istotnie chwiał się na trzęsących się pod nim nogach i błędnym wokoło toczył wzrokiem. Pomimo to podniósł córkę z ziemi, zarzucił na lewe ramię i chociaż ciągle się potykał, odniósł ją do jej pokoiku i położył na łóżku. Sam zaś padł na stojące przy niem krzesło, z oczami w jeden punkt zwróconemi, z strasznym ciężarem, przygniatającym mu piersi, nie zdolny oprzeć się dręczącej go obawie. Cała energia, na którą się zdobył. zadając Zygmuntowi ów podły cios nożem, znikła naraz zupełnie.

Karol przeciwnie, nic a nic nie utracił ze swego zwykłego cynizmu. Zabrał się żwawo do uscenizowania kłamstwa, którem bronić się postanowił równie w śledztwie policyjnem, jak sądowem. Przedewszystkiem odniósł jedną szpadę do pokoju ojca, poczem zawlókł ciało nieszczęśliwego, aż pod mur ogrodowy. Tam je pilnie zrewidował... W jednej kieszeni znalazł scyzoryk.

— Wybornie! — pomyślał. Tym scyzorykiem ścinał kwiaty...

Następnie, przyłożył dłoń do serca swojej ofiary.

— Nie bije! — szepnął. Szkoda! W sztuce władania szpadą był majstrem, co się zowie! Niejeden znakomity fechmistrz francuski nie mógłby się z nim mierzyć!... Doprawdy, ciekaw jestem, z kim miałem do czynienia... No! bądź zdrów mężny rycerzu! już cię nie ujrzę więcej...

Uniósł ciało w górę i przez mur je przerzucił. Teraz dopiero, oblany zimnym potem, odwrócił się w stronę dworu.

— Nikt nic nie widział... okna dotąd są zasłonięte.

Spostrzegł na ziemi laskę z ołowianą gałką.

— Pyszna mordercza pałka!... Włóczęga, ściskając ją w ręku, rzucił się na nas... Istna maczuga!

Poskoczył ku tarasowi szybko i w kałuży krwi — która tam zastygała — położył laskę. Potem wbiegł na trawnik i na jednym z wysokopiennych krzaków róży obciął kilka nierozwiniętych pączków. Upuścił je na murawę, tuż prawie pod krzakiem, wraz z scyzorykiem nieznajomego.

Wtedy dopiero rozwarło się jedno z okien na pierwszem piętrze, a w niem ukazała się Pogonowska, w stroju niedbałym. Słyszała ona wprawdzie jakąś głuchą wrzawę i szczęk broni, lecz nie śmiała ani wołać na służbę, ani sama interweniować w zajściu, lękała się bowiem nożowników warszawskich, jak ognia, a miłe swoje zdrowie ceniła więcej od całego mienia swych chlebodawców.

— Co się tam dzieje? — zawołała nareszcie, gdy już wszystko ucichło od kwadransa.

— To się dzieje — odparł Karol — że złodziej, który kradł kwiaty, a może i owoce, o mało co mnie nie zabił. Niechże pani z łaski swojej obudzi Jana. Prawdopodobnie, według swego zwyczaju, śpi dotąd, jak suseł. Proszę mu powiedzieć, żeby tu zbiegł natychmiast... Ja zaś idę po ogrodnika.

— Czy niema już żadnego niebezpieczeństwa? — pytała drżąca klucznica.

— Niema... niema. Za mur wyrzuciłem rozbójnika... za mur, na drogę nad Wisłę...

— A panienka?

— Nie troszcz się jejmość o nią. Papa poszedł ją uspokoić.

Wkrótce potem Pogonowska, kucharz, pomywaczka, pokojówka, stangret, ogrodnik, kamerdyner ojca i lokaj syna, zgromadzili się na tarasie. Księżyc oświecał jasno skrzepłą już kałużę krwi, oraz leżący przy niej nóż hrabiego i szpadę Karola. Cała gromadka trzęsła się od strachu, patrząc się na to wszystko ze zdziwieniem i niepokojem.

Karol wzruszył ramionami i rzekł tonem surowym:

— Zamiast gęby rozdziawiać jak wrony i przyglądać się śladom tego, co się tu działo, trzeba było pilniej strzedz domu i ogrodu... Teraz niema czasu do stracenia! Niech stangret zaprzęgnie siwki do mego wózka krakowskiego i pojedzie z Janem do komisarza policyi ósmego cyrkułu w Warszawie... z tym oto biletem.

Ołówkiem nakreślił kilka wyrazów na karcie wizytowej i podał ją swemu służącemu.

— Musisz się spieszyć! — zwrócił się do ogrodnika. Pan zaś dosiądź bułanka i wpadnij do Mokotowa. Poprosisz doktora Morskiego, który ma własną bryczkę i konie, żeby tu zaraz przyjechał. Wprawdzie, sądzę, że wizyta jego nie na wiele się przyda, bo łotr nie żyje... lecz bądźcobądź śmierć musi być stwierdzona.

— Nie żyje!... Śmierć musi być stwierdzona!— mruknęła chórem cała kompania.

— Musiałem bronić się przecie — rzekł Karol spokojnie.

— Gdzież on leży, proszę jaśnie pana — spytał ogrodnik — bo możebym ja sam sprawdził, czy naprawdę nie zipie?

Młody człowiek powiódł wszystkich pod mur i z ławki kamiennej wskazał ciało, leżące na piasku wpośród drogi. Poczem, nie objaśniając co i jak się stało, a również nie pozwalając sprawdzać, czy zbroczony krwią żyje lub nie, odprawił lokaja, woźnicę i ogrodnika, polecając im, aby jak najspieszniej spełnili jego rozkazy.

— Mój Boże! jakie to nieszczęście! — lamentowała Pogonowska. Panienka musi być okropnie zestrachana... Czy mam pójść ją uspakajać?

— Nie! — odparł Karol sucho i stanowczo. Powiedziałem już pani, że papa siedzi przy niej... Oto lepiej, proszę się zająć uporządkowaniem salonu i przygotować nam śniadania dla pana komisarza cyrkułowego i dla naczelnika straży ziemskiej, którego komisarz pewno z sobą przywiezie... Gdyby wezwał do siebie wójta i jednego z ławników, bo mogą mu być potrzebni przy śledztwie, to dać im po kieliszku wódki i zimną jaką przekąskę, ale w kuchni... Czy mnie pani zrozumiała dobrze?

— Zrozumiałam... A proszę pana hrabiego, co się stanie z ciałem tego tam biedaka?

— Nie wolno go sprzątnąć, dopóki władza nie zjedzie i nie wyda pozwolenia. Niema obawy, aby uleciało!... Niechże jejmość idzie czemprędzej do dworu i zajmie się śniadaniem...

To mówiąc popchnął klucznicę i trzymającą się jej spodnicy pomywaczkę, nagle bowiem utracił spokój, którym mógł w podziw wprawić najbaczniejszego obserwatora.

Tam, pod tarasem, w miejscu, gdzie toczyła się walka, był panem siebie, lecz tu, w niewielkiem oddaleniu od trupa nieszczęśliwego człowieka, zamordowanego tak podle... czuł, że go dreszcze przejmują, że oblewa się potem naprzemian gorącym jak ukrop, albo jak lód zimnym. Chciał się przezwyciężyć, więc wychylił się za mur... Przecież musi przyzwyczaić się do patrzenia na zwłoki, będzie bowiem świadczyć w śledztwie... Nie, nie! nie może... nie śmie... Po odejściu całej czeredy sług z Pogonowską na czele i on udał się do dworu.

Wszedł do pokoju ojca i zapalił świecę... Nagle znowu zwykle chłodne jego serce ścisnęło się gwałtownie. Opanowała go straszna trwoga... Ostrze wiszącej na ścianie szpady, którą się Zygmunt bronił, było skrwawione... Zdjął szpadę ze ściany i obtarł ją chustką starannie, poczem we właściwem miejscu napowrót zawiesił... Ale ten wysiłek moralny złamał go fizycznie. Padł na sofę i leżał na niej czas jakiś. Wstyd mu było słabości, dominującej nad cynizmem, którym się chełpił zawsze. Zmęczony i jakby senny, mruczał niewyraźnie:

— Miałem prawo usunąć go z naszej drogi... Zastałem obcego, a nieznanego mi człowieka, w nocy, w sypialni mojej siostry... więc go zabiłem... zabiłem... zabiłem... nie ja sam... zabiliśmy go oba... oba... oba...

Zerwał się nagle na równe nogi.

— Tak! Czy jednak zabity naprawdę?!

Chciał lecieć do parku, stanąć na owej fatalnej ławce kamiennej pod murem i przyjrzeć się dobrze martwemu ciału wroga, żeby się upewnić, że już niema potrzeby lękać się go więcej... Wyszedł, lecz wpół drogi szepnął do siebie:

— Jeszcze nie... potem... za chwilę...

Bał się... Drżał znowu na myśl zobaczenia ofiary wspólnego mordu.

Wrócił więc do dworu i wszedł do jadalni, oświetlonej lampą, wiszącą u sufitu nad nakrytym i zastawionym do śniadania stołem. Chwycił karafkę z wódką, nalał pełen duży kieliszek... Wypił. Nalał poraz drugi... i znowu wypił. Tak pokrzepiony udał się na pierwsze piętro i delikatnie zapukał do drzwi pokoju siostry.

— Czekałem na ciebie — rzekł doń ojciec, który przyszedł mu otworzyć.

— Wszystko w porządku. Władze policyjne i sądowe przybyć już mogą.

— A to? — szepnął hrabia. Czy pomyślałeś o tem?

Podał mu skrwawioną suknię córki. Suknia, splamiona krwią zamordowanego, była dowodem, że Zofia brała udział w dramacie, który tam... na dole... rozgrywał się w nocy. Gdyby ją znaleziono, Zofia musiałaby stawać przed sądem.. być badaną,

świadczyć. Groza niebezpieczeństwa podnieciła nanowo energię Karola.

— Daj ojcze!... Zosi ci panowie, co przyjadą, widzieć nie mogą pod żadnym pozorem. Rozumiesz papo, pod żadnym pozorem!

— Nie obawiaj się. Stan jej obecny... stan zupełnej prostracyi, uwolni ją dziś od wszelkiego badania, a jutro.. no, jutro! odzyszczę władzę nad jej umysłem, jaką miałem dawniej... i... nie wątpię, że mam jeszcze. Więc nie lękaj się, mówię... i idź! „Corpus delicti" trzeba zniszczyć.

Karol poszedł do swego pokoju, gdzie suknię rzucił do pieca. Poczem zbliżył się do umywalni, na której stała duża, kwartowa flaszka wody kolońskiej. Wziął ją i zawartość całą wylał na suknię. Następnie podpalił zapałką... W kilka minut, krwawa sukienka zamieniła się w kupkę białego popiołu. Wtedy odetchnął głęboko i spojrzał na zegarek.

— Policyi tylko co nie widać — szepnął. Trzeba komisarza, wraz z całem jego otoczeniem przyjąć grzecznie. Umiem z nimi się obchodzić, jak należy... Ułożyłem doskonałą bajeczkę, niby nowellista jaki, albo dziennikarz... Zosia zrozumie przecie, że zdradzić nas nie może... Zresztą uwierzy, że zabiłem przeciwnika w pojedynku... Z tego wszystkiego, co tu zaszło, pozostał tylko trup... a zmarły nie przemówi, więc i nie oskarży... Tak, tak, niema czego się lękać. Będziemy... musimy być ocaleni!

V.

Legalna obrona.

Zofia budziła się powoli z długiej nieprzytomności. Otworzyła oczy, jakby od niechcenia, jakby ukradkiem, nic nie widząc wokoło siebie... nie widząc nawet ojca, który oczekiwał na przebudzenie z wielkim niepokojem. Wyobrażała sobie, że śni i że śniła już przedtem; że dusza jej, pełna przerażeń i lęku, padła ofiarą jakiejś okropnej zmory, czy hallucynacyi... Przecież to rzecz niemożliwa, aby jej brat mógł walczyć z jej ukochanym... Walka taka byłaby wstrętną i bezbożną. Wtem uczuła, że chłodna jak lód ręka ojca spoczęła nieśmiało i bojaźliwie na jej ręce gorącej, a słodkawy głos jego obił się o jej uszy.

— Zosiu!... moje biedne dziecko!

Obecnie nie grał on już komedyi. Wszystko, co było w nim jeszcze dobrego i nieskażonego długiem samolubstwem, zmartwychwstało w starem sercu na widok córki, bledszej od pościeli, na której leżała, złamana okropnem cierpieniem; córki, którą nawet w omdleniu wstrząsały konwulsyjne dreszcze, połączone z głośnem łkaniem. Zaledwie zapanował nad własnym przestrachem, wnet otoczył ją najczulszą troskliwością. Zdjął z niej sukienkę, rozsznurował gorset, przykrył kołdrą i czuwał przy jej łóżku w taki sposób, w jaki zwykliśmy czuwać przy niebezpiecznie chorych. Zanim zdołała o cokolwiek go zapytać, lub o coś poprosić, brał ją w ramiona, tulił do piersi, okrywając pocałunkami, w których mieściło się tyleż szczerego uczucia, co zadawnionej, z przyzwyczajenia wypływającej hipokryzyi. Więc i ona — w pierwszej chwili — nie zdając sobie sprawy z tego, co się stało, uległa bezmyślnie i bez przymusu pieszczotom ojca, napełniającym jej łono jakąś nieodczuwaną dotąd błogą radością. Hrabia zaś przemawiał do niej głosem gorączkowym, urywanym, lecz serdecznym. Starał się ją pocieszać, pozyskać jej przebaczenie i tym sposobem umożliwić w przyszłości małżeństwo jedynaczki z baronem Korfem.

— Dziecko moje biedne, staliśmy się powodem twego ciężkiego zmartwienia, lecz chciej zrozumieć, że i my srodze ucierpieliśmy przez ciebie... Wszak wiesz i rozumiesz, że jesteś jedyną naszą miłością, jedynem naszem szczęściem... że honor twój, to nasz skarb najdroższy... Widzieć cię zatem skompromitowaną, niemal zgubioną, to rzecz nader bolesna... Zawiniłaś bardzo, moja ukochana córeczko, ale ci przebaczam, ze względu na czarną rozpacz, jaka cię czeka z naszej przyczyny...

Niewyraźnie i niejasno napomykał o smutnem rozwiązaniu nocnego dramatu, chciał bowiem naprzód zjednać sobie jej życzliwość i zaufanie, a następnie dopiero wyjawić straszną i bolesną prawdę.

— Byłem może złym ojcem — mówił dalej — nie umiałem zastąpić ci matki, uchronić od niezdrowych wyobrażeń, od pokus, czyhających na niedoświadczoną dziewczynę, pozbawioną nieustannej opieki... więc niewinna, a bezbronna, padłaś ofiarą zuchwałego... przedsięwzięcia...

— Mój ojcze — jęknęła głosem cichym, łamiącym się po każdym wyrazie — mój ojcze! błagam cię... bądź dla niego dobry... bądź wyrozumiały...

— Kimże był ten człowiek? — zapytał nieśmiało.

Zofia spojrzała na niego wzrokiem, w którym równocześnie malował się szał rozpaczy i okropny niepokój.

— Co mówisz... ojcze?

— Pytam, jak się nazywał ten człowiek?



Zygmunt runął martwy obok niej na ziemię.

— Chcesz wiedzieć... jakie nazwisko nosi mój ukochany?

— Nie nosi go już niestety — mruknął smutno hrabia.

— Boże! coś powiedział? — zawołało dziewcze zdławionym głosem.

— W fatalnym pojedynku z Karolem los mu nie sprzyjał...

— Nie, mój ojcze! to nieprawda... on żyje... on zginąć nie mógł... Jeśli raniony, to leczyć i ocalić go trzeba... Pozwól mi wstać z łóżka... pójdę do niego... otoczę go staraniami... czuwać będę nad nim...

Chciała zerwać się z pościeli, lecz hrabia ją przytrzymał.

— Tak bardzo go kochałaś?

Zwróciła błędne, lecz żarem szału błyszczące oczy na ojca i przejęta zimnym dreszczem trzęsła się cała, jak w febrze.

— Co się teraz ze mną stanie?... Jeśli on nie żyje, to i ja umrzeć muszę... Jestem przecie jego żoną... Lecz ty mnie oszukujesz, ojcze... On nie umarł... Łudzisz się może nadzieją, że zmusisz mnie do wyrzeczenia się go na zawsze... że ja się zgodzę na to przeklęte małżeństwo, które uprojektowałeś... bo nie wiesz, nie pojmujesz, jak ja go kocham!... Do niego należę... do nikogo zatem innego należeć nie mogę...

Wzdrygnęła się na wspomnienie bezwiednie popełnionego błędu, a wyczerpana wysiłkiem, na jaki zdobywać się musiała, aby mówić, upadła na poduszki, jak trup blada. Wkrótce jednak, załamując ręce, szeptała znowu:

— Och! błagam cię ojcze, powiedz mi... wyznaj szczerze... czy umarł mój ukochany?... Okropność! okropność!... nieszczęście całego mego życia jest dziełem brata... mego brata!

Hrabia zmieszał się nieco, lecz po chwili chciał siebie i syna usprawiedliwić.

— W rzeczy samej nieszczęście... wielkie nieszczęście, nie przeczę... lecz hańba była równie wielką... niesława niespodzianie, jak grom z jasnego nieba spadająca na nasz dom, plama na honorze... Tylko krwią zmyć ją było można... tylko krwią!

— Więc to prawda? więc brat mój zabił mojego męża?.. Boże! jak mogłeś pozwolić na coś podobnego!... Boże! jeśli masz litość nademną, odbierz i mnie życie... zabierz mnie z tego świata!

Nieszczęśliwa wiła się w rozpaczy, targana nerwowymi kurczami. Łkała głośno i wyrywała się z rąk ojca, który na próżno starał się ją uspokoić i pocieszyć. Powtarzała ciągle:

— Odejdź, pozostaw mnie... zaklinam cię... pozostaw mnie samą... samą!

W tej chwili rozległ się turkot powozów, zajeżdżających przed ganek. Hrabia wyprostował się, zesztywniał i rzekł nagle ochrypłym głosem, wydobywającym się z trudnością ze ściśniętego niepokojem gardła:

— Policya!

— Policya! na co? — spytała Zofia zdziwiona i nieprzytomna zarazem.

— Musieliśmy wezwać komisarza z powodu... z powodu tego, co się tu stało...

— Boże! czy i mnie badać będzie?... Z jednej strony brat, z drugiej mąż... Co ja mu powiem?! co ja mu powiem?! — wołała Zofia pomieszana i przerażona.

— Uspokój się. Uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy, żeby cię nie narażać na nowe męczarnie. Po złożeniu zeznania, wrócę tu natychmiast... Bądź mężną i cierpliwą, moja najdroższa Zosiu.

Ucałował ją, a w pocałunku tym uwidoczniła się znowu owa dziwna mieszanina hipokryzyi i szczerości, która — wobec boleści córki — owładnęła jego duszą. Zbiegł po schodach szybko. Ona zaś, nawpół tylko przytomna, wyciągnięta na swem panieńskiem łóżeczku, jęczała, zalewając się łzami. Kiedy niekiedy z ust jej bladych, jak płatki stulistnej róży, wyrywało się imię ukochanego, wymawiane z rozdzierającą serce jej rozpaczą.

Hrabia wszedł do jadalnego pokoju, w którym Karol podejmował gościnnie kapitana Dwojegłazowa, komisarza ósmego warszawskiego cyrkułu, oraz pisarza, odzianego w ciemnozielony mundur urzędnika policyjnego, który milczał, do rozmowy się nie mieszał, trzymając się z uszanowaniem — nawet przy stole — w pewnem poważnem oddaleniu od swego zwierzchnika. Przybyły z nimi żandarm, usadowiony w przedpokoju, otrzymał poczęstunek, składający się z wódki, kromki chleba z szynką i butelki piwa.

Karol, nalewając winem węgierskiem kieliszki, według wcześnie ułożonego szematu, opowiadał kapitanowi dramat nocny. Ujrzawszy jednak ojca, przerwał opowiadanie i wskazując na oficera, na którego wypukłych piersiach złociły się i srebrzyły przeróżne medale i krzyże, rzekł z oznakami serdecznej uprzejmości:

— Pan komisarz Dwojegłazow, był tak dobry, że na nasze zaproszenie stawił się tutaj natychmiast.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Wrzenie w Persyi.

W Persyi rozpoczęła się przed kilku tygodniami wojna domowa, która — jak sądzić można z dotychczasowego jej przebiegu — zakończyć się musi albo zupełnem zwycięstwem parlamentu i obaleniem szacha, albo też przywróceniem w całej pełni rządów absolutnych, wschodnia bowiem zaciekłość, z jaką wojna między narodem a monarchą jest prowadzona, nie wskazuje na możliwość połowicznego załatwienia sprawy.



Wrzenie w Persyi: Szach Muhamed Ali.

Rolę agressywną odegrał tutaj szach, Muhamed Ali, który od dłuższego już czasu przygotowywał zamach stanu. Po wyjeździe swoim do letniej rezydencyi, którą otoczył oddziałem przybocznych kozaków w sile tysiąca pięciuset ludzi, rozkazał zburzyć zupełnie gmach parlamentu. Od wczesnego ranka do południa grzmiały bezustannie działa, które część miasta obróciły w gruzy, a z wielkiego meczetu nie pozostał nawet kamień na kamieniu. Jednocześnie oddziały teherańskiej policyi wpadały do prywatnych mieszkań, skąd siłą wywlekano wszelkie podejrzane osoby. W ten sposób w rękach szacha znalazło się wielu przywódców ruchu ludowego, którzy albo już ponieśli śmierć na szubienicy, albo czekają tego losu w więzieniach.

Na razie zwycięstwo pozostało przy szachu, zarzewie jednak rewolucyi, rozbudzone przez władcę, przeniosło się ze stolicy na prowincyę, skąd dochodzą wieści o zbieraniu się uzbrojonych oddziałów zwolenników parlamentu, którzy zbliżają się do Teheranu.

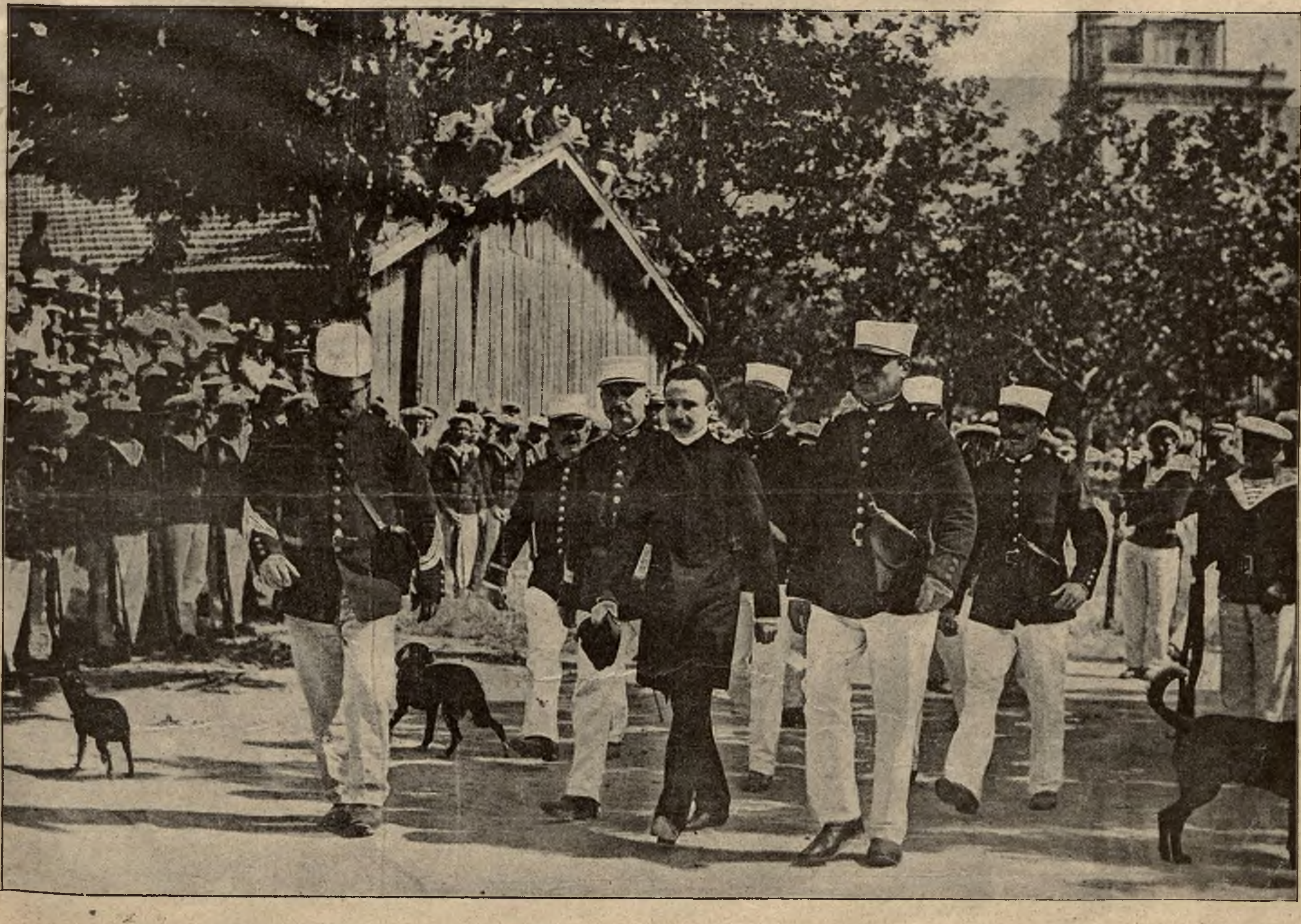
Ogólną nienawiść do szacha rozdmuchują jeszcze gwałty i rabunki żołnierzy, którym władca Persyi, celem utrzymania ich w wierności dla siebie, zezwala na wszelkiego rodzaju wybryki.



Degradacya zdrajcy: Złamanie szpady podczas aktu degradacyi Ullma

Degradacya zdrajcy.

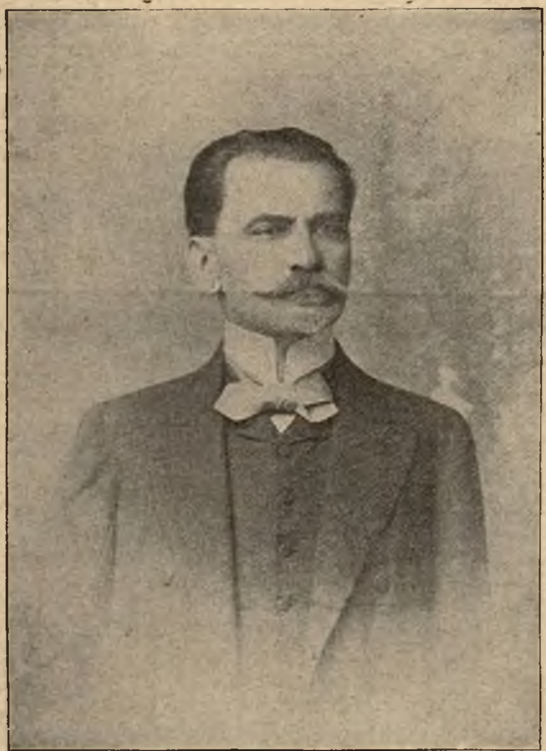
W następstwie procesu, jaki przed kilku miesiącami toczył się we Francyi przeciwko porucznikowi marynarki Ullmo, oskarżonemu o usiłowane wydanie Niemcom tablicy sygnałów francuskich okrętów wojennych, nastąpiło przed kilku dniami w Tulonie wykonanie wyroku, skazującego obwi-



Degradacya zdrajcy: Odprowadzenie oficera Ullma po degradacyi do więzienia.

nionego na degradacyę i deportacyę na „Czarcią wyspę“, na której ongi odbywał swą karę Dreyfus.

Od wczesnego ranka na placu św. Rocha w Tulonie, przeznaczonym na miejsce tej ponurej ceremonii, zebrały się tak nieprzeliczone tłumy publiczności, iż władze musiały wydelegować znaczny oddział wojska dla utrzymywania porządku. Wnet potem rozwarły się drzwi więzienia i pod eskortą



Jubileusz pracy publicysty znej Redaktor, radca dworu Adam Krechowiecki.

czterech uzbrojonych marynarzy wprowadzono więźnia. Ullmo noszący od chwili swego aresztowania ubranie cywilne, na dzień egzekucyi przebrać się musiał we właściwy swej randze uniform marynarza. Blady bardzo, z głową prosto wzniesioną, z błędnemi oczami, został wprowadzony w czworobok, utworzony przez wojsko naprzeciw wzniesienia, na którem znajdowali się jego koledzy, oficerowie armii i marynarki. Po ustawieniu skazanego na wyznaczonem miejscu, uderzono w bębny i dano sygnały trąbkami, jednocześnie pisarz sądu wojennego odczytał donośnym głosem cały wyrok. Po załatwieniu tej formalności, kapitan marynarki zbliżył się do skazańca i tłumiąc wzruszenie, które tamowało mu mowę, wygłosił formułę degradacyjną: „Ullmo Benjaminie, Karolu, jesteś niegodny noszenia broni. Niniejszem w imię prawa degraduję cię“.

Po słowach tych nastąpiła natychmiast egzekucya, najsurowsza kara, jaka spotkać może żołnierza, która też wywarła przygnębiające wrażenie na wszystkich obecnych. Podoficer, ozdobiony medalem wojennym, zbliżył się do Ullma i silnym ruchem zerwał galony z czapki skazanego, poodrywał epolety i poodcinał guziki od munduru; następnie odpiął mu pas ze szablą, wyjął ją z pochwy i złamał na kolanie, rzucając resztki jej pod nogi skazanego. Ullmo w czasie tej ceremonii pobladł jeszcze bardziej i drżał cały, chwiejąc się na nogach, a z oczu płynęły mu łzy. Wśród zebranych tłumów odczuć się dawało wzruszenie i słychać było łkanie, tak silne scena ta wywarła wrażenie. Poczęły rozlegać się nawet okrzyki w obronie oskarżonego, bezustanne jednak bicie w bębny i dźwięki trąb, przygłuszały te oznaki współczucia dla winowajcy. Gdy już wszystkie odznaki zdarto z Ullma, odprowadzono go z powrotem do więzienia. Szedł z gołą głową, pochylony, jakby nie należał już do żyjących.



Wesoła tradycya Pochód »Lajkonika« w ul. Zwierzynieckiej.

Jubileusz pracy publicystycznej.

Dziennikarstwo polskie zwraca się dziś do jednego z najstarszych a najbardziej zasłużonych kolegów, do Adama Krechowieckiego, redaktora „Gazety Lwowskiej“ i prezesa Towarzystwa dziennikarzy polskich, niosąc mu w dniu jubileuszowym wyrazy czci i hołdu, niosąc uczucia serdecznego uznania za pracę i trud około podniesienia i rozwoju publicystyki polskiej.

Postać Adama Krechowieckiego, to jedna z najpiękniejszych i najsympatyczniejszych w gronie dziennikarzy polskich, a zarazem i bardzo wybitna w literaturze naszej. Jubilat bowiem zdobył swą działalnością powieściopisarską bardzo poczestne miejsce wśród koryfeuszów naszej belletrystyki.

Urodzony 1850 r. w Leszczynowie, w powiecie humańskim na Ukrainie, ze starej szlacheckiej rodziny, wzrastał od najmłodszych lat w atmosferze literackiej, bo dwór rodziców jego gościł niejednokrotnie przedstawicieli ówczesnej literatury, Zaleskiego, Goszczyńskiego, Rzewuskiego, Grabowskiego i innych, co na młody, wrażliwy umysł Adama musiało wywrzeć potężny wpływ. To też już jako uczeń gimnazyum żytomierskiego, a następnie uniwersytetu kijowskiego, rozpoczął pisywać pomniejsze utwory a przeniósłszy się 1869 r. do Lwowa, ogłosił jako słuchacz lwowskiej wszechnicy szereg swych utworów w rozmaitych pismach. Wstąpiwszy następnie do namiestnictwa, pracował dalej na polu literackiem, oddając się ze szczególnem zamiłowaniem badaniom historycznym. Przygotowywał bowiem materyały do większej pracy, do dużej powieści historycznej, która wreszcie ukazała się w 1887 roku p. t. „Starosta Zygwulski“. Zarówno ta pierwsza jego powieść, jak dalsze, które kolejno opuszczały prasę drukarską, „Veto“, „Szary wilk“, „Tarłówna“, „O tron“, „Fiat lux“, a obok tych obyczajowe, „Zmarnowani“, „Najmłodsi“, „Jestem“, „Rdza“, „Kres“, i kilka pomniejszych — otoczyły nazwisko Krechowieckiego wieńcem sławy, dały go bowiem poznać jako pisarza niepospolitej siły, mistrza formy i stylu.

Powołany 1883 r. do redakcyi „Gazety Lwowskiej“, stanął na jej czele i podniósł poziom tego urzędowego dziennika bardzo wysoko. Pod względem literackim jest też dziś „Gazeta Lwowska“ pismem pierwszorzędnej wartości.

Od szeregu lat jest radca dworu Krechowiecki prezesem Towarzystwa dziennikarzy polskich, które szczyci się tem, że na czele jego stoi człowiek tak niepoślednich zalet, człowiek, którego nazwisko zdobyło sobie trwałe już, a wybitne bardzo miejsce w literaturze polskiej.

Łącząc się z resztą dziennikarstwa w hołdzie z okazyi rocznicy rozpoczęcia pracy zawodowej, przesyłamy i my Czcigodnemu Jubilatowi szczere „Szczęść Boże“ w dalszej pracy.



Wesoła tradycya: »Lajkonik« ze świtą na Zwierzyńcu.

Tajemnicze zwłoki.

Przed kilku dniami znaleziono w rowie obok gościńca, prowadzącego z Kopyczyniec do Husiatyna, zwłoki jakiegoś włościanina. Dochodzenia, jakie podjęła natychmiast żandarmerya, stwierdziły, że denat nazywał się Turczan, liczył lat 28, był żonaty i ojcem jednego dziecka. Ponieważ zaś co do przyczyn jego śmierci krążyły najrozmaitsze pogłoski, a wszystko przemawiało za tem, iż śmierć ta była nienaturalną, spowodowaną albo wypadkiem, albo może wrogiem działaniem, wdał się w sprawę sąd śledczy, z którego ramienia udała się na miejsce tragicznego wypadku komisya sądowo-lekarska, celem przeprowadzenia szczegółowego badania.

Pogłoski, które wskutek tego wypadku krążą po okolicy, wskazywać się zdają, że zachodzi tu zbrodnia, natomiast wedle wyników prowizorycznego śledztwa, prawdopodobniejszem okazuje się przypuszczenie, iż włościanin Turczan stracił życie wskutek nieszczęśliwego wypadku.

Jest rzeczą pewną, iż dalsze, dokładniej przeprowadzone, stwierdzi stanowczo przyczyny śmierci młodego włościanina.

Zamieszczona rycina przedstawia rodzinę denata i komisyę sądowo lekarską obok zwłok na miejscu wypadku.



Tajemnicze zwłoki: Komisya sądowo-lekarska przy zwłokach włościanina Turczana.



Nowe banknoty: Banknot 20 koronowy najnowszej emisyi.

Wesoła tradycya.

Nieprzeliczony tłum gawiedzi obojga płci i najrozmaitszego wieku, ścisk, hałas, wrzask, gwizdy, monotonna, jakaś dzika melodya lichej orkiestry — oto tło, na jakiem odbywa się każdego roku w oktawę Bożego Ciała uroczystość „konika Zwierzynieckiego".

Uroczystość ta, tradycyjnie od niepamiętnych czasów w Krakowie obchodzona, nazywa się popularnie „lajkonikiem". Któż go tu nie zna? Kto nie widział tego oryginalnego pochodu? Nie ma tu chyba nikogo takiego, bo mieszkańcy Krakowa i jego okolicy zżyli się z „lajkonikiem" i dzień jego wjazdu w mury miasta, jest jakby świętem ludowem.

Legenda głosi, iż obchód „konika Zwierzynieckiego" pochodzi z czasów bardzo zamierzchłej przeszłości, z czasów napadów tatarskich, zdaje się jednak, iż podanie to jest legendą, pozbawioną podstawy historycznej.

Nie wchodząc atoli w ocenę wartości historycznej tradycyi „lajkonika", przyznać należy, że nie jest ona pozbawioną pewnego sympatycznego uroku. Bohater pochodu, odziany w strój tatarski, wcale okazały, z turbanem lśniącym od pereł i sztucznych kamieni na głowie, dzierży w ręku gumową buławę, postrach gawiedzi. Ekscentryczności stroju dopełnia drewniany tułów konia, okrytego czaprakiem. Świta „lajkonika" także w strojach oryginalnych, choć mniej wspaniałych, zwraca uwagę buńczukami i wielką chorągwią cechu włóczków krakowskich. Dopełnia całości orkiestra janczarska, a wśród jej instrumentów najdonioślej odzywa się bęben.

Ruszywszy około 5 popołudniu z pod klasztoru PP. Norbertanek na Zwierzyńcu, posuwa się „lajkonik" wolno ulicą Zwierzyniecką ku miastu, gromadząc wokoło siebie coraz liczniejszy tłum gawiedzi ulicznej. A że po drodze harcuje wesoło z tłumem go otaczającym, że wstępuje do każdego niemal szyneczku przydrożnego, by pokrzepić znużone członki, więc na przebycie nie długiej stosunkowo drogi od rogatki Zwierzynieckiej do rynku, potrzebuje około trzech godzin czasu.

W mieście dalszy ciąg wesołej „zabawy", której koniec aż w handlu Hawełki, około 9 wieczór, gdy poczciwy „lajkonik" nie tyle ze znużenia, ile z nadużycia alkoholu, nie może ruszyć nogą i musi przespać się w spokoju dobrą chwilę, by wrócić na resztę nocy do domu.

Nowe banknoty.

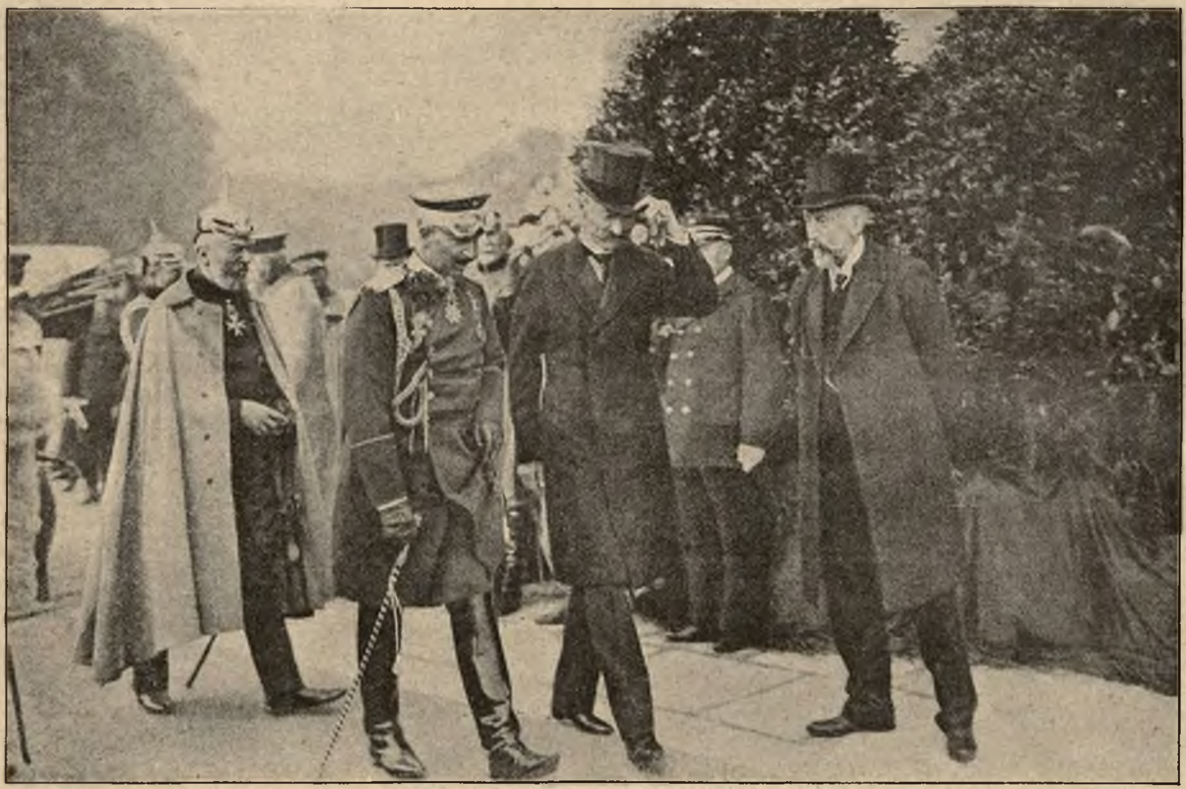
„Narody Austryi cieszcie się!" Będą, a właściwie są już, nowe pieniądze. Nowe banknoty 20-koronowe. Dostać je można już wszędzie. W bankach, kantorach wymiany, trafikach itd. Ale niestety nie zadarmo.

Poprzednio, w marcu 1900 r., emitowane 20-koronówki okazały się niepraktyczne. Bardzo ła-



Przeciw pojedynkom: Grono uczestników kongresu antipojedynkowego w Budapeszcie.

two je sfałszować. Wobec tego Bank austro-węgierski, który jest fabrykantem tych sympatycznych „papierków“, obmyślił nowy, odmienny wzór na te banknoty i przed kilku dniami ukazały się pierwsze „obrazki“ na targu.



Nowa serya mów: Powitanie cesarza Wilhelma II przez burmistrza Hamburga, dr. Burcharda.

Różnica między banknotami 20-koronowymi dawnej a nowej emisyi, uderzająca na pierwszy rzut oka, polega przedewszystkiem w odmienności barwy. Podczas gdy dawne miały w całości barwę różową, nowe są kombinacyą kolorów różowego, błękitnego i zielonego i pod tym względem żywo przypominają banknoty 10-koronowe. Dalsza różnica widoczna jest w rysunkach, zdobiących oba rodzaje banknotów. Znalazły tu zastosowanie nowe prądy w sztuce. Rysunki bowiem na nowych 20-koronówkach są secesyjne. Uderza to zarówno w rysunku dwugłowego orła austryackiego, jak w rysunku głowy kobiecej. Także czcionki drukarskie mają krój secesyjny.

Pozatem jest wszystko takie same. Ten sam tekst, taki sam napis: 20 koron, w 10 językach ludów monarchii i tak samo ich... mało.

Nowa serya mów.

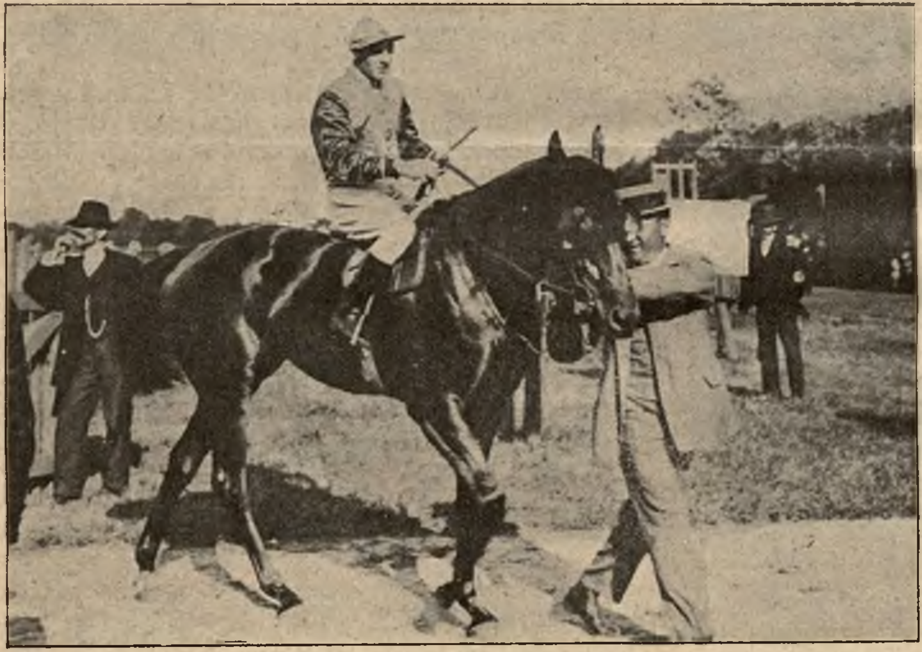
W ostatnich mowach cesarza Wilhelma II. odczuć się daje dość silne zdenerwowanie, które najlepiej zdradza niezadowolenie władcy Niemiec z wzajemnego ukształtowania stosunków mocarstw europejskich.

Zły humor Wilhelma-Podróżnika nikogo nie dziwi i wszyscy go nawet oczekiwali, każdy bowiem rozumie, iż wszelki zawód należy do rzeczy nieprzyjemnych, zwłaszcza dla człowieka, przekonanego głęboko o swej wyższości i o własnej potędze.

Cesarz Wilhelm II. nietylko marzył, ale nawet przygotowywał się już do roli kapelmistrza w koncercie mocarstw europejskich, tymczasem dzięki swemu najbliższemu krewniakowi, bo wujowi, królowi angielskiemu Edwardowi VII., został z tego koncertu zupełnie wykluczony. Orkiestra złożona z Anglii, Francyi i Rosyi, dobrze zgrana, posiadająca wyborowe instrumenty, rozpoczyna już koncert, któremu poczynają wtórować i inne mocarstwa, jedynie tylko Niemcy znalazły się w rzędzie słuchaczów, którzy z założonemi w tył rękoma mogą się grzecznie ale tylko przysłuchiwać.

Ta bierna rola nie może przypaść do smaku żądnemu czynów cesarzowi, który pogniewawszy się na swych sąsiadów, uderzył trzykrotnie zawczasu kupioną batutą w poręcz swego tronu, nakazując milczenie swym nieznużonym słuchaczom i rozpoczął grzmiące mowy.

Pierwsza, wypowiedziana w Döberitz, brzmiała buńczucznie i miała zapewne przerazić cały świat. Stało się jednak trochę inaczej. Mowa ta rozweseliła znudzone ciszą wszechświatową ludy. Wobec tego wygłosił Wilhelm drugą mowę, na regatach w Hamburgu. Zapewniając swych „ukochanych Hamburczyków“ o miłości dla nich, mówił dalej o zamiłowaniu pokoju, który jednak musi być zachowany „z honorem“. To słowo w mowie najdonioślejsze, bo zawiera w sobie warunki, na jakich właściwie pokój niemiecki może trwać. Była to zarazem i nowa groźba, rzucona w stronę trzech mocarstw, które jednak nie przerwały koncertu



Meeting krakowski: »Koczkas«, por. Rhein-Wolbecka.



Meeting krakowski: »Forma«, p. Ignacego Zangena.



Meeting krakowski: »Danusia«, hr. Zdzisława Tarnowskiego.



Meeting krakowski: »Kulik«, hr. Zdzisława Tarnowskiego.

Pod grozą śmierci.

Powieść.

Przełożył z angielskiego Stanisław Krzyż.

6 (Ciąg dalszy).

— Nic ważnego, proszę pani. Jakiś książe indyjski, przyjechał przed chwilą i zażądał pokoju. Pokazano mu wolne apartamenty, ale on koniecznie uparł się, aby mu dano pokoje, zajęte przez pana Clinton Zieglera. Jest tam właśnie w tej chwili i nie można go stamtąd usunąć, bo nie umiemy mu wyjaśnić, iż pokoje te są zajęte. Nie umie ani słowa po angielsku, a tu niema nikogo pod ręką, ktoby rozumiał jego mowę.

— Poczekaj pan — rzekł jenerał — może ja się z nim rozmówić potrafię, znam kilka narzeczy indyjskich.

— Bardzo będziemy zobowiązani — dziękował służący — ten dzikus byłby prawie udusił sekretarza pana Zieglera, gdy go chciał z pokoju wyprosić.

Jenerał wszedł do pokoju, gdzie hałasował przybysz i po chwili wyszedł z wysokim Indyaninem, który przemawiał do niego językiem dla otoczenia niezrozumiałym. Egzotyczny ten gość był wspaniale ubrany, suknie z jedwabiu, przetykanego złotem, kryły jego muskularną postać, a turban biały z wielkim brylantem zdobił jego wysokie czoło.

Dwie lub trzy postacie wystraszone ukazały się na chwilę w pokoju Zieglera, ale natychmiast po wyprowadzeniu dzikiego awanturnika drzwi znowu pospiesznie zatrzaśnięto.

— Wszystko pomyślnie załatwione — objaśniał jenerał damom. Jego wysokość książe Thakove de Bhurtnogur nie rozumie naszych obyczajów. Wybrał się do innego hotelu, bo tutaj niegościnnie odmówiono mu pomieszczenia w pokoju, który mu się podobał.

Ponieważ czas wizyty z powodu tego epizodu i tak się przedłużył, pani Sadgrove powstała, dziękując za herbatę, do której pani Talmage Eglinton zapraszała. Jenerał żegnał się ostatni i również jak przy powitaniu, okazał się niezwykle grzecznym.

— Sądzę, że rozłąka nasza nie będzie długą — mówił, trzymając w dłoni ładną rączkę gospodyni. Za dwa lub trzy dni zobaczymy się w Prior Tarrant?

— W tej chwili nie wiem jeszcze. Czekam na zaproszenie. A może jenerał mnie zwodzi? Na wszelki jednak wypadek proszę mi powiedzieć, kiedy książe tam jedzie?

— Dziś wieczór — pociągiem odchodzącym z dworca św. Pankracego o godzinie ósmej minut czterdzieści pięć. Alec Forsyth będzie mu towarzyszył...

XI.

Niespodzianki.

Wieczorem tegoż dnia przechadzał się po alejach wspaniałego parku zamczyska Prior Tarrant jenerał Sadgrove, paląc cygaro i nadsłuchując, kiedy przybędzie książe. Po wizycie w hotelu Cecil pospieszył do pałacu Beaumanoir dla omówienia bliższych szczegółów odjazdu księcia i jego sekretarza; następnie wysłał depeszę do Prior-Tarrant, dokąd odjechała najbliższym pociągiem straż przednia. Teraz czekał na księcia, po którego wysłał powóz do stacyi, odległej o dwie mile od zamku. Książe i jego towarzysz powinni nadjechać każdej chwili, była już bowiem godzina jedenasta minut dwadzieścia, jak się przekonał jenerał, spojrzawszy przy świetle księżyca na zegarek. Jeżeli wyjechali pociągiem o godzinie ósmej minut czterdzieści pięć, powinni tu już być w zamku od godziny.

Zaniepokoił się starzec tem opóźnieniem, lecz ku swojej radości usłyszał turkot kół. Pospiesznie udał się w stronę podjazdu zamkowego, ażeby go przywitać. Niestety powóz był próżny.

— A to co znaczy, Perrett — książe nie przyjechał?

— Nie, proszę pana. Pociąg miał jakiś wypadek. Ale powiedziano mi na stacyi, iż nikt nie jest ranny, a jego wysokość nie jechał tym pociągiem.

— Skąd wiesz o tem?

— Pociąg wykoleił się między stacyami Albans i Harpenden. Kilku podróżnych doznało wstrząśnienia, ale rannych niema. Następny pociąg zabrał wszystkich pasażerów. Na naszej stacyi Tarrant Road nikt jednak nie wysiadł. Jakób przeszedł koło wszystkich wozów, wszędzie zaglądał, ale księcia nigdzie nie było. Perret, stary, zaufany sługa opowiadał dalej, iż na jego prośbę naczelnik telegrafował do stacyi, gdzie zaszło wykolejenie, z zapytaniem, czy pozostał tam może jaki ranny pasażer. Odpowiedź jednak brzmiała przecząco, z dodatkiem, iż następny pociąg zabrał wszystkich dalej jadących pasażerów.

Ponieważ po północy przybywał z Londynu do Tarrant Road jeszcze jeden pociąg, przeto jenerał polecił Perretowi, ażeby jeszcze raz pojechał na stacyę, sam zaś zapalił świeże cygaro i wolnym krokiem skierował się z powrotem do parku. Na jednej z ławek zobaczył swego Indyanina, Arimoolaha.

— Mam dla ciebie robotę — przemówił doń cicho. Czy możesz — jak dawniej, obejść się bez snu?

— Bez snu i bez jedzenia, jeżeli Allah i Sahib rozkażą — odpowiedział.

Jenerał opisał mu okolicę, gdzie zaszło wykolejenie i nakazał mu udać się tam z możliwym pośpiechem.

Na miejscu zaś kazał dokładnie zbadać wszystkie szczegóły wypadku, który — jak przypuszczał jenerał — mógł być wywołany przez tajemniczych wrogów księcia. Arimoolah skłoniwszy się, znikł jak cień.

Jenerał rozpoczął zastanawiać się nad tą nową, niespodziewaną sytuacyą. Chodziło przedewszystkiem o stwierdzenie, czy książe jechał tym pociągiem, lub też czy pozostał w Londynie? Niestety, biuro telegraficzne w Prior-Tarrant w nocy było zamknięte.

Chodząc po parku i rozmyślając o wszystkich tych dziwnych wypadkach, jenerał przypomniał sobie z kolei usiłowane uduszenie księcia gazami węglowymi. Popatrzył uważnie na dach i spostrzegł, że przy pomocy filaru, pozostałego z jakiegoś starego zabudowania, można bez trudu wydrapać się na dach, z dachu zaś można się było w razie nagłej potrzeby spuścić po rynnie. Jenerał oglądnął dokładnie tę drogę, pokręcił głową i zatopił się ponownie w dociekaniu motywów tej ciekawej afery.

— Muszę koniecznie wydobyć od niego tę tajemnicę, byleby tylko tu przyjechał zdrów i cały — postanowił starzec.

Przed bramę zamku zajechał w tej chwili wysłany na dworzec Pierret, a z powozu wysiadł sam Alec Forsyth, blady i złamany. Miał jednak tyle siły, iż nie chcąc zwracać uwagi sług, tonem zwyczajnym oznajmił jenerałowi, iż jego wysokość nie mógł przyjechać.

Jenerał wziął go pod ramię i w milczeniu udali się obaj do jadalni.

Pozbywszy się obecności służby, jenerał rzucił krótkie pytanie:

— Co się stało?

Alec miasto odpowiedzi podał mu otwartą depeszę.

„M. A. Forsyth w pociągu 8 godzina minut 45.

Wracaj natychmiast, koniecznie! Ci, którzy księciu zagrażają, tu pojmani. On może bezpiecznie jechać, ale wracać tutaj nie!

Sybilla Hanbury

pałac Beaumanoir".

Jenerał przejrzał sytuacyę w okamgnieniu.

— Beaumanoir był więc w tym pociągu. Ten telegram jest fortelem naszych przeciwników, a ty pokazujesz mi go, ażeby usprawiedliwić się, iż księcia opuściłeś?

Forsyth pochylił głowę.

— Bez wątpienia zasługuję na wielką naganę. Ale proszę mnie wysłuchać — mówił biedny Alec — kto inny chyba byłby się także dał tak samo oszukać.

Opowiadanie Forsytha nie zdołało dostarczyć bliższych wskazówek co do obecnego miejsca pobytu księcia. Obydwaj wyjechali powozem z pałacu Beaumanoir; na dworzec przybyli dość wcześnie do pociągu, odchodzącego o godzinie 8-ej minut 45. Kupiwszy bilety, zajęli miejsca w pustym przedziale, który na ich prośbę konduktor oznaczył tabliczką z napisem: „Zajęte". Wtem portyer niespodzianie wywołał nazwisko Forsytha i wręczył mu depeszę.

Forsyth, nie chcąc niepokoić księcia powiedział, iż idzie do biura telegraficznego napisać odpowiedź. Galopem popędził do pałacu. Tutaj, ku swemu przerażeniu dowiedział się od Sybilli, iż telegram jest falsyfikatem.

— Przy tej sposobności — opowiadał Forsyth — pogniewała się na mnie, wyrzucając mi moją nieoględność i łatwowierność, a przecież było moim obowiązkiem pospieszyć z pomocą samotnej, młodej dziewczynie — a tem bardziej mojej narzeczonej.

— Uspokój się, chłopcze. Ja strzeliłem bąka, powierzając pieczę nad księciem zakochanemu. No i cóż dalej? — spytał jenerał.

— Powróciłem znowu na dworzec — kończył swoje opowiadanie Forsyth — i zdołałem złapać ostatni pociąg w tę stronę odchodzący. Po drodze — na stacyi w Harpenden dowiedziałem się, iż nie stało się — Bogu dzięki — nic strasznego — jakiś złoczyńca zatarasował tor wielką belką drewnianą.

Jenerał zaczął teraz kombinować. Książe więc wsiadł do pociągu o godzinie 8 minut 45 — mógł jednak, nie widząc Forsytha, wysiąść w ostatniej chwili.

Forsyth, któremu jenerał udzielił tego spostrzeżenia, powiedział, iż ta ewentualność jest wykluczoną, widział bowiem księcia, wychylającego się z okna, gdy pociąg już był w ruchu. Jeśli więc książe nie wysiadł na jakiejś pośredniej stacyi — przed miejscem katastrofy, w takim razie zginął tam, co wydawało się tem prawdopodobniejszem, ileże pasażerowie pociągu wykolejonego zmuszeni byli przebyć trzy kwadranse w ciemności, wśród gęstych lasów.

— Hm, hm — mruczał jenerał — tym razem wzięli mnie.

Niezadowolony ze siebie chodził nerwowo po pokoju, wyrzucając od czasu do czasu urywane słowa.

— Pierwszy raz, pierwszy raz w życiu. Jem Sadgrove, stary lis, został pokonany przez kobietę. Pani Talmage Eglinton tym razem zwyciężyła.

— Pani Talmage Eglinton? A cóż ona ma wspólnego z całą tą aferą? — zapytał zdumiony Forsyth.

Jenerał uspokoiwszy się nieco, usiadł przy stole i opowiedział Alecowi o wypadku z karetą, o dziwnem zachowaniu się pani Eglinton podczas wizyty u nich w kilka chwil później, a wreszcie udzielił swoich spostrzeżeń co do sytuacyi w pokojach Clintona Zieglera i jego bezpośredniej sąsiadki w hotelu Cecil.

— Kochany stryj Jem nie tracił czasu na darmo! Ale jakim sposobem stryj dotarł do pokoju tego tajemniczego Zieglera?

— Całkiem prostym — odpowiedział jenerał. Shermanowie i ja z żoną poszliśmy z wizytą do tej damy, tymczasem zaś mój dziki Arimoolah zabawił się w indyjskiego radżę i wtargnął do pokoju Zieglera. Niezrozumiany przez nikogo, wywołał ogromną awanturę, co przedtem ułożyliśmy. Pani Eglinton, zatrwożona jego dzikimi krzykami, powstała i w pierwszym zapędzie zwróciła się ku drzwiom, zabarykadowanym biurkiem; wnet jednak zoryentowała się, iż nie jest samą. Ale, dla mnie to wystarczyło.

— To rzeczywiście daje wiele do myślenia — przyświadczył Forsyth.

— Najciekawszą jednak przytem jest okoliczność, że ani ja, ani Arimoolah nie widzieliśmy twarzy tego Zieglera, który — jak mnie poinformowano — nigdy z powodu choroby nie wychodzi z hotelu. Było tam w pokoju jakichś dwóch drabów, dość przyzwoicie ubranych, kandydatów do kryminału, ale nie było Zieglera.

Jenerał przerwał swoje zwierzenia, a nalawszy wina, ciągnął dalej:

— Było to złe pociągnięcie, fałszywy krok z mojej strony, który może zniszczyć siódmego księcia de Beaumanoir du Peerage. Hm — hm! Powiedziałem miss Talmage Eglinton, iż książe wyjedzie do Prior Tarrant pociągiem o godzinie 8 minut 45. Ciebie to dziwi — nieprawda? Powiedziałem jej dalej, iż ty będziesz mu towarzyszył; sądziłem bowiem, że w ten sposób zapewnię wam obydwom spokojną podróż. Bo ona, mój Forsyth, stara ci się podobać, wszyscy o tem bardzo dobrze wiemy.

Forsyth lekko się zarumienił i zachmurzył: ze słów jenerała wynikało bowiem z nieubłaganą jasnością, iż on zupełnie niepotrzebnie, wbrew otrzymanemu poleceniu, opuścił swój posterunek u boku księcia, wskutek czego cały plan jenerała poszedł na marne.

Jenerał, który ciągle rozmyślał o tych tajem niczych napadach, rzekł pomału:

— Cała sprawa obraca się — jak przypuszczam — około tych trzech milionów funtów sterlingów, które mój stary druh, Leonidas Sherman, wiezie z Ameryki. Spisek ten uknuto w Ameryce, banda opryszków w jakiś zagadkowy sposób oplątała księcia, wciągnęła do swojej organizacyi i skompromitowała go. Podczas wizyty u nas przestrzegał ni stąd ni zowąd Leonię przed złodziejami. Co to wszystko znaczy?

Kombinacye jenerała boleśnie dotknęły Forsytha. Wzmianka o kompromitacyi znaczyła, iż Beaumanoir jest wspólnikiem zbrodniarzy, inaczej bowiem nie można pojąć, dlaczego — wiedząc o spisku — nie chce uwiadomić policyi, ażeby zbrodniarzy oddać w ręce sprawiedliwości. Jako wynik swoich rozmyślań postawił jenerałowi następującą kwestyę:

— Gdyby Beaumanoir był wspólnikiem zbrodniarzy, w takim razie nie pojmuję, dlaczego oni czyhają na jego życie i dlaczego on sam znowu przestrzegał pannę Sherman?

— Wtem jest sęk — odparł jenerał.

Forsyth ciągnął zaś dalej:

— Gdyby zaś pani Talmage Englinton należała także do tej szajki, książe nie byłby jej przecież zaprosił do zamku, gdy równocześnie zaprosił córkę senatora Sherman, pannę Leonię, która — jak to stryj chyba już także zauważył — nie jest mu obojętną.

Jenerał milczał długo.

— Jeżeli książe żyje, dalsze jego losy zależą — rzekł — od tego, ażebyśmy wszyscy razem spędzili pod jednym dachem tych kilka dni ostatnich.

Jenerał, który z pomyślnym skutkiem przeprowadził ongi tyle zawiłych śledztw i dochodzeń, tyle odniósł tryumfów w walce z przebiegłymi Indyanami, wytężał wszystkie swoje myśli, ażeby znaleść wyjście z labiryntu obecnych niespodzianek...

Była już godzina druga po północy, a starzec bynajmniej nie odczuwał potrzeby ani snu, ani spoczynku.

Zwrócił się ku tarasie zamkowej, ażeby tam usiąść.

Gdy wstępował na schody, o uszy jego obiły się przyspieszone kroki i jakiś człowiek zdyszany, z rozpiętym surdutem, rzucił się ku niemu.

Forsyth i jenerał wyciągnęli ramiona na przywitanie; w świetle księżyca rozpoznali spieszącego: był to książe Beaumanoir, za którym w pewnem oddaleniu postępował — niby cień — Arimoolah.

XII.

Szpieg w pociągu.

Po odjeździe Forsytha, zajął książe miejsce w rogu pustego przedziału, doznając pewnego rodzaju ulgi; nie dlatego, jakoby czuł się teraz zabezpieczonym przed napaścią ze strony Zieglera i jego najemników; nie, czuł się szczęśliwym i zadowolonym z powodu, iż dzielna Sybilla będzie spokojną o życie swego narzeczonego.

— To jest wyjątkowa dziewczyna — myślał — jeśli ten nagły odjazd Aleca jest dziełem tego starego łotra, jestem mu zato szczerze wdzięczny: moja kuzyna nie będzie opłakiwać śmierci ani kalectwa ukochanego.

Wyciągając się wygodnie na siedzeniu, książe z zimną krwią analizował obecną swoją sytuacyę, łudząc się nadzieją, iż z tragicznej afery wyjdzie zdrów i cały. Właściwie ocalenie życia schodziło na drugi plan; głównie zależało mu na ucieczce przed Zieglerem tak długo, dopóki senator Sherman nie zostanie ostrzeżony o spisku, uknutym przeciw jego osobie. Czy tylko jego nerwy wytrzymają aż do dnia przybycia senatora do Liverpoolu.

Ziegler na pewno czasu nie traci darmo, zależy mu także przecież na pośpiechu. Któż może zaręczyć, czy w czasie podróży, przed przybyciem pociągu do Prior Tarrant, nie będzie dokonany ponowny zamach.

Pociąg przybył do pierwszej stacyi Kentish Town, książe zaniepokojony wyjrzał przez okno i przekonał się, iż konduktor na drzwiach przedziału zawiesił tabliczkę z napisem: „Zajęte“ i że zamknął je prawidłowo. Mimo to serce biło mu niespokojnie, wiedział bowiem dobrze, iż dla Zieglera nie istnieją żadne zamki, żadne przeszkody. Następne trzy stacye minęły szczęśliwie, bez żadnego wypadku.

Na czwartej zdenerwowany książe usłyszał koło swego wozu kroki jakiegoś pasażera, który głośno wołał:

— Panie konduktorze! Proszę o miejsce w pierwszej klasie!

Beaumanoir zobaczył przed wagonem eleganckiego, wysokiego mężczyznę, który swojem wystąpieniem stanowczem i pewnem, mimowolnie zmuszał konduktorów do grzeczności.

O kilka kroków za tym pasażerem stał służący z żółtym skórzanym futerałem na kapelusz i zarzutką w ręku.

Gdy pan jego otrzymał żądane miejsce, podał do wozu zarzutkę i futerał, a sam wsiadł do drugiej klasy. Na dany sygnał pociąg ruszył w dalszą drogę.



Proszę do światła, panie towarzyszu! — zawołał książe.

Beaumanoir rozsiadł się wygodnie w swoim kącie, a myśli jego pobiegły do tych dni, gdy w Nowym Jorku zmuszony był spieszyć ulicą Bowery, ażeby zarobić marnych kilka dolarów. A dziś, jaka zmiana!

Jest posiadaczem ogromnego majątku, swobodnym, panem swojej woli. Niestety, pogodę tego szczęścia mąci ten fatalny układ — ta zmora nieszczęsna, która niszczy jego nerwy.

Gdyby co prędzej przeszedł ten tydzień męczący! Życie rozpocznie nowe, będzie się starał pozyskać szacunek ludzi i... miłość Leonii.

Z krainy tych pięknych marzeń, które uspokoiły jego skołatane nerwy, został nasz książe strącony nagle na ziemię — do smutnej rzeczywistości.

Oto rzuciwszy mimochodem okiem pod przeciwległe siedzenie, zobaczył tam rzecz, która mocno go zaniepokoiła.

Pod siedzeniem widniał obcas.

Na razie nie mógł dostrzedz dalszej części obuwia, przypomniał sobie jednak dokładnie, iż przedmiotu tego nie widział wchodząc do wagonu.

Wynikałoby więc z tego, że w chwili, gdy książe przypatrywał się na stacyi owemu pasażerowi pierwszej klasy, wszedł ktoś do jego przedziału z drugiej klasy i cicho wsunął się pod siedzenie.

Jeżeli to morderca, nasadzony przez Zieglera, w takim razie wybrał bardzo niewygodną drogę, wszak w tej pozycyi nie może nic przedsięwziąć. Książe spojrzał jeszcze raz na podejrzany obcas i zaśmiał się z cicha.

Podniósł się szybko i już naprzód drwił z samego siebie i ze swego przestrachu na widok oderwanego obcasa. Wyciągnął rękę, dotknął się — i odskoczył.

Pod siedzeniem leżał człowiek.

— Proszę do światła, panie towarzyszu! — zawołał. Wyłaź pan prędzej i siadaj, tu będzie wygodniej.

Właściciel obcasa wygramolił się pomału — a książe przy świetle lampy wagonowej spostrzegł, iż miał już sposobność być jego towarzyszem podróży.

Na pierwszy rzut oka poznał szpiega Markera, który przeprawiał się z nim razem na pokładzie św. Pawła i który po wylądowaniu ścigał go aż do hotelu Cecil.

— Więc znowu jesteśmy razem, drogi panie Marker — przemówił książe z ironicznym uśmiechem. Nie przypuszczałbym nigdy, iż pański przyjaciel Ziegler poskąpi panu pieniędzy na bilet i każe panu podróżować, jak włóczędze, w tak niewygodnej pozycyi.

— Przepraszam bardzo — odparł nieznajomy słabym głosem. Pan się myli, ja nie nazywam się Marker i nie znam żadnego Zieglera.

— Może być, że się pan nie nazywasz Marker, nazywałeś się tak jednak podczas podróży na św. Pawle; ale starego Zieglera z hotelu Cecil znasz pan bezwątpienia.

— Pan znasz go chyba lepiej — odrzekł nieznajomy.

Beaumanoir, przyglądając się uważniej nikłej postaci rzekomego Markera, nabierał pomału przekonania, iż jest on tylko podrzędnym agentem, przeznaczonym do mniej ważnych operacyj bandy Zieglera.

— Proszę mi wyjaśnić, kochany panie — zapytał dalej książe — dlaczego pan zadaje sobie tyle trudu? Czy nie lepiej byłoby posadzić obok mnie Zieglera? — wyszedłby pan na tem daleko lepiej...

Nieproszony towarzysz odparł dość opryskliwie:

— Nie rozumiem, o co panu właściwie chodzi. Jestem gotów spokojnie jechać z panem, jeżeli mi zapłacisz bilet do stacyi Saint-Albans.

Książe zaprzestał dalszej rozmowy, bo widział, iż ona nie doprowadzi do żadnego celu.

Na następnej stacyi przywołał naczelnika stacyi i wskazując na swojego towarzysza, powiedział, iż ten jechał pod ławką, bez biletu.

— Proszę wysiąść! — zawołał naczelnik. Proszę o nazwisko i adres.

— A to dlaczego? — spytał Marker.

— Ponieważ pan jechałeś bez biletu!

Marker głośno się zaśmiał.

— Ten pan to powiedział. Rozumiem. Proszę teraz i mnie wysłuchać. Schroniłem się pod siedzenie, bo myślałem że mam do czynienia z warjatem; a to mi wolno, jak każdemu innemu pasażerowi, który opłacił bilet.

Po tych słowach podał naczelnikowi bilet pierwszej klasy, poczem wsiadł do innego przedziału.

Naczelnik wzruszył ramionami i odszedł, — a książe pomięszany patrzył na stojącego opodal konduktora.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Czterdziestolecie pracy bankowej.

Naczelny dyrektor krakowskiej filii Banku hipotecznego, radca cesarski Jan Winiarz, obchodził w tym tygodniu jubileusz czterdziestoletniej, nieprzerwanej pracy w tej instytucyi.

Jubilat, pochodzący ze znanej rodziny lwowskiej, po ukończeniu studyów w mieście rodzinnem, wstąpił 1868 r. do służby w Banku hipotecznym, a dyrekcya wysłała go do filii krakowskiej. Po krótkim tu pobycie, został przeniesiony do Lwowa, stamtąd do Czerniowiec i znowu do Lwowa; z kolei pracował przez kilka lat jako kierownik filii w Tarnopolu, skąd powołano go napowrót do Lwowa, gdzie przez długi szereg lat zajmował stanowisko naczelnego buchaltera centralnego zakładu. W r. 1904 powołany został do Krakowa, w charakterze naczelnego dyrektora tutejszej filii Banku hipotecznego i na stanowisku tem po dziś dzień pracuje.

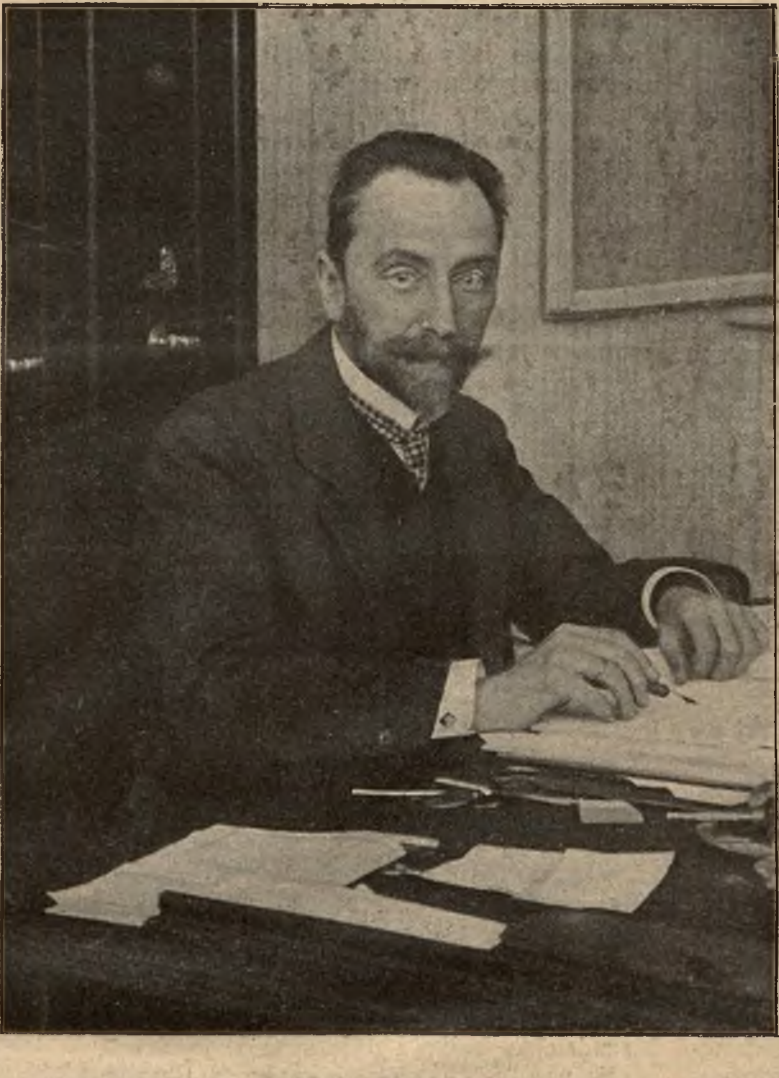
Dyrektor Winiarz zjednał sobie zarówno we Lwowie, gdzie przebywał wiele lat, jak w Krakowie, niekłamane poważanie i uznanie dla zalet umysłu i charakteru, jakie go cechują. Człowiek cichy, ale niestrudzonej pracy, pełen taktu i ujmującej uprzejmości, znany jest w szerokich kołach finansowych ogólnie i ogólną też cieszy się sympatyą.

Około rozwoju instytucyi, na której czele stoi od lat kilku, zasłużony dobrze i trwale. Za jego rządów filia Banku przeniosła się do wspaniałego, po europejsku urządzonego gmachu na rogu ulicy Brackiej i Rynku. Całe wewnętrzne urządzenie biur, zwłaszcza zaś zatrzymanie stylu starodawnego budynku, jest zasługą głównie dyr. Winiarza, czem zyskał sobie uznanie także miłośników starego Krakowa.

W uroczystym dniu jubileuszu urzędzili urzędnicy filii serdeczną owacyę swemu przełożonemu, wręczając mu jako pamiątkowy upominek złoty zegarek. Do życzeń, jakie jubilat otrzymał z całego miasta i kraju, dołączamy i my z naszej strony serdeczne: ad multos annos.

Jubileusz zasłużonej wychowawczyni.

Podniosła i wzruszająca uroczystość odbyła się niedawno we Lwowie. Był nią obchód jubileuszu zasłużonej wychowawczyni dziatwy polskiej, pani Fryderyki z Zielonków Grottowej, pierwszej kie-



Czterdziestolecie pracy bankowej: Radca cesarski dyrektor Jan Winiarz.

rowniczki znanej we Lwowie szkółki froeblowskiej.

Przez pełnych trzydzieści lat stała ta zacna, wielkich cnót i niepospolitego hartu ducha niewiasta na czele powierzonej swej pieczy instytucyi, przez trzydzieści lat kierowała wychowaniem dziatwy, darząc ją miłością gorącą i serdecznem przywiązaniem. Pierwsze zastępy jej wychowanków, to ludzie dziś dojrzali, na stanowiskach, rozrzuceni po całym kraju, a przecież żywo jeszcze stoją im przed oczyma te miłe, wesołe chwile dzieciństwa, spędzone w ogródku froeblowskim, pod okiem zacnej i ukochanej „cioci“, jak kierowniczkę stale nazywano.

Więc na wiadomość, iż po trzydziestu latach ciężkiej, ofiarnej, a tak owocnej pracy, zasłużona wychowawczyni opuszcza z powodu nadwątlonego zdrowia stanowisko swoje, zjednoczyły się zastępy jej wychowanków i tych wszystkich, którzy pracę jej tyloletnią mieli sposobność oglądać, by w dniu jubileuszu, a oraz rozstania się z ukochanym zakładem, złożyć jej w dani hołd szczery i podziękę imieniem całego społeczeństwa.

Nietylko dziatwa z ogródka froeblowskiego przy seminaryum żeńskiem we Lwowie, ale i z innych froeblowskich zakładów, jak p. Hamerskiej, d'Endel, Blochównej i innych, pospieszyła do zasłużonej jubilatki, by wspólnie z rodzicami dać wyraz uczuciom wdzięczności i uznania. Rozczulający to był prawdziwie widok, gdy rzesza odświętnie przystrojonej dziatwy otoczyła ukochaną „ciocię“ i ze łzami w oczach z nią się żegnała.

Chwila ta pozostanie z pewnością na długie lata w pamięci Jubilatki i będzie dla niej najmilszą nagrodą za trudy i mozoły. Będzie tą nagrodą także wdzięczność ze strony rodziców i uznanie całego społeczeństwa. Ze strony rządu spotkało p. Grottową także zaszczytne uznanie, otrzymała bowiem złoty krzyż zasługi.

Uroczystość jubileuszowa odbyła się w lokalu szkółki froeblowskiej.

Cały zastęp obecnie uczęszczających do szkółki dzieci, bardzo wiele dawnych a dziś już dorosłych, rodzice dzieci, nauczycielki i wielu znajomych zgromadziło się w dniu tym uroczystym, aby złożyć hołd i podziękowanie jubilatce.



Jubileusz zasłużonej wychowawczyni: Jubilatka Fryderyka Grottowa, otoczona dziatwą ze szkółki froeblowskiej p. Blochównej we Lwowie.

Kronika tygodniowa.

(Borysław i popieranie przemysłu krajowego. — Co'oczna strata 50 milionów koron. — Mowa p. Zieleniewskiego po wizycie ministrów w Galicyi. — Co to jest rozstrzygająca chwila? — Wyścigi. — Rada miasta Lwowa wobec dyrektora teatru Hellera).

Borysław, który powstał pracą rąk polskich wówczas, gdy ani w Ameryce, ani na Kaukazie, ani w Rumunii o nafcie nic jeszcze nie wiedziano, wsławił się w ostatnich dniach dzięki niebywałemu wybuchowi ropy z szybu „Oil City“. Ropa spływała dokoła w olbrzymiej ilości trzech milionów litrów na dobę, spływała zupełnie na marne, co więcej groziła katastrofą pożaru całej okolicy. Porzucona nieostrożnie płonąca zapałka, mogła Borysław przemienić w morze płomieni, a rzekę Tyśmienicę, do której również uchodziła ropa, w dantejską wstęgę ognia.

Wobec tego dowodu niesłychanej obojętności i zupełnego niedołęstwa władz rządowych, które otaczały „opieką“ inspektora podatkowego nasz przemysł naftowy — podniosły się w całym kraju energiczne głosy oburzenia. Do Borysławia pospieszyli przedstawiciele władz rządowych z Drohobycza. Tym razem bez inspektora podatkowego, pospieszył namiestnik ze Lwowa, a wreszcie przybył nawet minister kolei, dr. Derschatta z Wiednia. Równocześnie udała się do Wiednia deputacya przemysłowców naftowych i przedłożyła rządowi postulaty, których spełnienie może uzdrowić krajowy przemysł naftowy.

Deputacya zażądała subwencyi państwowej na budowę cystern ziemnych, natychmiastowego zaprowadzenia na kolejach ropy jako materyału opałowego dla maszyn, zniżenia opłat przewozowych i podatku konsumcyjnego, a wreszcie sprawienia wagonów do przewozu nafty.

Wszystkie te żądania powtarzają się od szeregu lat, ale rząd stale je ignoruje w sposób poprostu lekceważący. Dzięki tej opiece rządu Galicya traci w przemyśle naftowym 40 do 50 milionów koron rocznie, jak to wykazał memoryał „krajowego Towarzystwa naftowego“ i „krajowego Związku producentów ropy“. Memoryał ten, to ogromny akt oskarżenia przeciwko macoszemu rządowi, a po części także przeciwko Wydziałowi krajowemu i Sejmowi galicyjskiemu.

„Pod wpływem ogólnej katastrofy — czytamy w owym memoryale — znikną z powierzchni krajowi przedsiębiorcy, którzy wysiłkiem swym i techniczną dzielnością przemysł ten do światowego znaczenia podnieśli, stracą chleb lub pójdą na tułaczkę dziesiątki tysięcy pierwszorzędnych, wyszkolonych znakomicie robotników krajowych, rozprzęgnie się wielki ośrodek górniczy, aby na ruinie rodzimych wysiłków przygotować miejsce dla zwycięskiej inwazyi obcych, zaborczych kapitałów. Oddaliśmy węgiel nasz Prusakom, ropę oddamy Amerykanom“.

Oto jak wygląda okrzyczane uprzemysłowienie kraju naszego. Czy wszystko to, co przyrzekł dr. Derschatta pod wrażeniem chwili w Borysławiu, spełni się? Między ustami a brzegiem puharu pojawi się sucha dłoń „hofrata“, niwecząc z przedziwną maestryą wszystkie przyrzeczenia ministeryalne. I dlatego dobrze postąpił poseł Zieleniewski, który już po wizytach ministrów w Krakowie i Borysławiu, bardzo energicznie wystąpił w Izbie posłów przeciwko wszelkim zakusom, dążącym do niedotrzymania przyrzeczeń, danych ze strony rządu.

„Jeżeli budowa kanału Dunaj-Odra-Wisła nie zostanie z obu końcowych punktów jak najrychlej rozpoczęta — mówił pan Zieleniewski — Polacy wysnują z tego wszystkie konsekwencye parlamentarne, któremi rozporządzać mogą. Galicya stoi wobec alternatywy: albo wywóz towarów, albo wywóz ludzi. Innej ewentualności niema“. Jeżeli Koło polskie wytrwa na tem stanowisku, określonem przez posła Zieleniewskiego, możemy liczyć na powodzenie, choćby częściowe.

Ostatecznie, Bogiem i prawdą, przyrzeczenia rządu są bardzo niepewne i mgliste. Na posiedzeniu członków Związku przemysłu fabrycznego w sali krakowskiej Rady miejskiej szef sekcyi w ministerstwie handlu, p. Fries, imieniem nieobecnego ministra handlu, dr. Fiedlera, złożył w sprawie budowy dróg wodnych następujące oświadczenie: „Dyrekcya budowy dróg wodnych rozwinie w najbliższych miesiącach gorliwą pracę, ażeby z jak najlepszem przygotowaniem w stanowczej chwili przystąpić do zrealizowania planów“. Bardzo pięknie — ale nasuwa się pytanie, kiedy nastąpi owa „stanowcza chwila?“ Czy w roku przyszłym, czy za pięć, albo dziesięć lat? Czy może to będzie „verschoben auf die lange Bank?“

Do nafty i kanałów przybyła sprawa typowo galicyjska, to jest sprawa podwyższenia podatku od wódki. Pewien procent, podobno 80%, z podwyższonego podatku od spirytusu obróci rząd na tak zwaną sanacyę finansów krajowych, ale przy tej sposobności Galicya, wyrabiająca i konsumująca najwięcej wódki, będzie swoim kosztem ratować finanse innych krajów. Piwo i wino uważa rząd za nietykalne, więc dwaj polscy ministrowie skarbu, najpierw Dunajewski, a teraz Korytowski, uznali za stosowne opodatkować spirytus.

Jeżeli zwolennicy wstrzemięźliwości zacierają ręce, sądząc, że podrożenie wódki wpłynie na obniżenie jej konsumcyi, to się łudzą. Wódka będzie i nadal odchodzić w tej samej mierze, tylko będzie albo droższa, albo gorsza, albo i droższa i gorsza równocześnie. Łudzi się również poseł Stapiński, który na posiedzeniu Koła polskiego oświadczył, że ludowcy pragną jak najwyższego podatku od wódki, gdyż uważają alkohol za zbytek i truciznę i chcą go wyrugować wysokiemi cenami.

Wszelka przesada jest szkodliwa. Znani lekarze i profesorowie uniwersytetu wiedeńskiego Benedikt i Noorden, powagi naukowe, są za miernem używaniem alkoholu, a profesor Benedikt oświadczył, że robotnik tak długo nie wyrzeknie się wódki, dopóki nie będzie go stać na lepsze pożywienie i dopóki nie będzie mieć odpowiednich miejsc dla szlachetnej rozrywki. Syty robotnik, mający możność godziwej rozrywki, nie będzie się uciekać nawet do najtańszej wódki.

Dlaczego przy tej sposobności poseł Stapiński wystąpił przeciwko „żalom na podatek domowoczynszowy“, tego nie rozumiemy. Podatek ten gnębi właścicieli domów, a pośrednio i lokatorów, nic tedy dziwnego, że wszyscy mieszkańcy Krakowa uważają go za plagę. Poseł Stapiński nabył niedawno kamienicę w Krakowie przy ulicy Szewskiej i będzie miał sposobność do zapoznania się z rozkoszami właściciela realności, staczającego beznadziejną walkę z podatkowemi władzami.

Skończyły się wyścigi konne w Krakowie i... Paryżu. Kronikarz paryskiego dziennika „Matin“, Harduin, pisze z powodu ukończenia tamtejszych wyścigów: „Pracowano obecnie bardzo poważnie nad poprawą rasy końskiej. Widzieliście, że kwota wielkiej nagrody podniosła się najpierw do 100.000, a obecnie do 300.000 franków, a jeden z dzienników powiada, że w r. 1915 nagroda owa będzie wynosić 400.000, zaś w r. 1920 aż pół miliona.

Przyjąłem to do wiadomości, konstatując, że nigdy nie można wiedzieć, kiedy rasa końska zostanie stanowczo poprawiona, co pozwoliłoby nam zabrać się do innej rzeczy. Zapytuję o to od czasu do czasu, ale nigdy nie otrzymuję odpowiedzi. Zdaje mi się, że nam jeszcze daleko do ideału. Wziąwszy niedawno fiakra, spostrzegłem, że koń się nie poruszał. To jest poruszał się tak powoli, że wysiadłem z fiakra i wziąłem automobil. Pewien sportsmen, jeden z moich przyjaciół, wysłuchawszy opowiadania o tym wypadku, odpowiedział wzgardliwie i lekceważąco, że nagroda wielka nie została utworzona dla poprawienia rasy koni fiakierskich“.

Tyle kronikarz paryski o tamtejszych wyścigach. Podejmuję na własną rękę ciąg dalszy jego wywodów, przenosząc się na krakowski tor wyścigowy. Paradne sprawozdanie z naszych wyścigów umieścił jeden z tutejszych dzienników, pisząc, że „podobnie jak poprzednie wyścigi galicyjskiego Klubu jazdy panów, obecne wyścigi odznaczały się brakiem koni u startu“. Na ośm zgłoszonych koni, startowały zaledwie dwa. Nie będzie z tego powodu dziury w niebie. Pewny jestem, że każdy koń wyścigowy machnie na mnie pogardliwie ogonem, a każdy jeździec wyścigowy uczyni to samo ręką — mimo to jednakże twierdzę, że wyścigi są pospolitym, tylko drogim sportem, bez praktycznej korzyści dla hodowli koni. Jeżeli bogaci Anglicy i Francuzi wydają miliony na wyścigi, to kieszenie ich nie odczuwają tego — ale my tyle mamy ważnych potrzeb, że setki tysięcy, wydanych na podobną rozrywkę, uważać należy poprostu za marnotrawstwo. Jeden Amerykanin da milion na stajnię wyścigową, drugi zato ofiaruje 30 razy tyle na uniwersytet, lub bibliotekę publiczną, u nas jednakże tak się nie dzieje. Towarzystwo szkoły ludowej nie otrzymuje krociowych zapisów, a nasze wyścigi konne są rodzajem kwiatka u kożucha.

Nie uczęszczam na wyścigi i nie gram w totalizatora. Jest mi zupełnie obojętnem, czy pierwsza stanie u mety „Dziadówka“ pana Świtalskiego, czy też ją wyprzedzi o całą długość „Kredyt“ p. Bankruckiego. Nie wiele mnie też obchodzi amerykańska jazda dżokejów, polegająca na tem, że jeździec z nogami skulonemi siedzi koniowi prawie na karku, co dla zwierzęcia ma być ulgą. Nie nęci mnie wreszcie totalizator z tej przyczyny, że o wiele większą nadzieję wygranej mam na zwyczajnej loteryi liczbowej. Jeżeli na wyścigach „obstawię“ złego konia, to przegram z pewnością, jeżeli „obstawię“ dobrego, to wprawdzie wygram, ale tyle, że nie opłaci się ryzyko, dostanę bowiem, dajmy na to, za pięć reńskich sześć. Czyż nie lepsza loterya liczbowa? Nie przeszkadza to, że mnóstwo amatorów łatwej fortuny dąży na wyścigi konne, ażeby tam przegrać pożyczoną monetę.

Podczas sezonu wyścigowego możemy oglądać w Krakowie przeróżne egzotyczne postacie w bajecznie kratkowanych strojach, „nadymanych“ spodenkach i kamaszach przeróżnej barwy. Są to koniarze, wielce imponujący niektórym facetom, chcącym koniecznie uchodzić za znawców turfu. Taki facet kupuje sobie szpicrutę, spinki w kształcie podkowy, i brelok do zegarka w kształcie łba końskiego — i to wystarcza mu zupełnie, ażeby uchodzić za koniarza. Służył jako jednoroczny ochotnik w artyleryi polnej, albo na wsi u stryja proboszcza widział parę podeszłych siwków, więc uważa się z całą słusznością za sportsmena. Niech mu służy.

Pozwólcie, że na ostatek w kilku wierszach zajmę się teatrem lwowskim. Otóż nagle, na trzy dni przed prawnym terminem, Rada miasta Lwowa wypowiedziała kontrakt dzierżawcy tamtejszego teatru miejskiego p. Hellerowi. Jeden z mowców, którzy głosowali za wypowiedzeniem kontraktu, oświadczył, że niema nic przeciwko osobie dyrektora Hellera, chodzi mu tylko o to, ażeby wspólnie z dyrektorem Hellerem podnieść teatr“. Dziwna logika. Wszak wspólne podnoszenie teatru z p. Hellerem nie może odbywać się za pomocą wypowiedzenia kontraktu.

Wogóle zwolennicy wypowiedzenia kontraktu wyrażali się pochlebnie o dyrektorze Hellerze, twierdząc, że pragną tylko poprawienia kontraktu na przyszłość, nie wykluczając możliwości ponownego zawarcia go z p. Hellerem. Gdyby chodziło o dzierżawę naprzykład kamieniołomu, to prawnicy powinniby się wysilić na wypracowanie jak najściślejszego kontraktu, jeżeli jednakże chodzi o dzierżawę teatru, służącego dla celów artystycznych, to przedewszystkiem chodzi o zaufanie do osoby dyrektora. Na to zaufanie dyrektor Heller zasłużył sobie naszem zdaniem.

h. j—e.

Od Administracyi.

Przypominamy Szanownym P. T. Prenumeratorom naszym, że przy każdorazowej zmianie adresu należy nadesłać jednocześnie z nowym adresem 40 hal. na koszta zmiany.

Przypominamy to ze względu na zbliżający się czas wyjazdów do letnisk i miejsc kuracyjnych.

Morderca namiestnika Potockiego przed sądem.

Wyrok zapadł! Surowy, straszny, ale sprawiedliwy, wyrok dwunastu sędziów obywateli, którzy zaprzysięgli uroczyście, iż prawda bezwzględna będzie motywem ich oceny. Więc po szczegółowem rozpatrzeniu sprawy, po przesłuchaniu oskarżonego i świadków, z ust ich nie mogło paść inne słowo, jak tylko: „winien jest!“



Morderca namiestnika Potockiego przed sądem
Świadek, komisarz namiestnictwa dr. Stefan Skrzyński.



Morderca namiestnika Potockiego przed sądem:
Jeden z obrońców Siczyńskiego, dr. Starosolski.



Morderca namiestnika Potockiego przed sądem:
Jeden z obrońców Siczyńskiego, poseł i adwokat dr. Kost' Lewicki.



Fot. M. Münz, Lwów.

Morderca namiestnika Potockiego przed sądem: Kordon policyi, zamykający część ul. Batorego, naprzeciw sądu w dniu rozprawy.

Rozprawa tedy Siczyńskiego, mordercy ś. p. namiestnika Potockiego, jej przebieg i zwłaszcza jej koniec nie mógł być i nie był dla nikogo niespodzianką. Za życie z całą świadomością i okrucieństwem wydarte, musiało paść życie mordercy, za łzy wdowy i sierót po ofierze, łzy matki i sióstr mordercy. Było to zresztą w intencyi sprawcy czynu strasznego.

* * *

Przez cały dzień we wtorek ubiegły toczyła się rozprawa w lwowskim sądzie krajowym karnym, przed trybunałem przysięgłych, pod przewodnictwem prezydenta Stanisława Przyłuskiego; wotantami byli radcy Lekczyński i Stefanowicz. Oskarżenie wnosili imieniem prokuratoryi państwa prokurator Barth i zastępca prokuratora dr. Słoniewski. Na ławie obrońców zasiedli dr. Kost' Lewicki i dr. Teofil Okuniewski, dalej adwokat z Tarnopola dr. Hołubowicz, dr. Starosolski i dr. Zahajkiewicz. Ponadto powołano do rozprawy znawców lekarzy i znawców rusznikarzy.

Rozprawa toczyła się w szybkiem tempie. Po odczytaniu aktu oskarżenia, zeznawał oskarżony Mirosław Siczyński. W długiej mowie przyznał on się do czynu, podawał następnie motywa, które go do zbrodni popchnąć miały i rzekomemi nadużyciami administracyi galicyjskiej, gwałtami, jakich się one i jej odpowiedzialny kierownik, namiestnik hr. Potocki, na narodzie ruskim dopuścić mieli, tłomaczył swój stan psychiczny, który go niejako zmusił do usunięcia ze świata winowajcy.

Morderca Siczyński zmienił nieco przed sądem taktykę swej obrony i próbował wpoić w przysięgłych przekonanie, że nie szło mu o zamordowanie ś. p. Potockiego, lecz o sam tylko zamach, aby w ten sposób zwrócić uwagę świata całego na stosunki w Galicyi. Słowom tym jednak zadały kłam zeznania kilku przesłuchanych w toku rozprawy świadków. W szczególności komisarz policyi Bihun, Rusin, przygwoździł stanowczo wykręty Siczyńskiego, przypominając słowa jego własne, wypowiedziane w chwili aresztowania tuż po zamachu. „Zabiłem łotra grafa Potockoho, za naszą krzywdę, za Kahańca, za wybory!“ A wątpliwość, czy namiestnik zginął, wywołała dalsze słowa — „bo inaczej byłoby szkoda“. Wielkie wrażenie wywarły też zeznania komisarza namiestnictwa dr. Stefana Skrzyńskiego, który pierwszy pospieszył z pomocą rannemu namiestnikowi. Świadek ten podał szczegóły z ostatnich chwil zamordowanego. scharakteryzował męstwo i hart ducha, które go nie opuściły nawet w obliczu nadchodzącej śmierci. Toż samo powtórzył świadek Kaniak, woźny namiestnictwa.

Nastąpiły orzeczenia znawców, poczem postawiono sędziom przysięgłym pytanie główne w kierunku zbrodni morderstwa i na żądanie obrony pytanie ewentualne w kierunku zbrodni zabójstwa. Imieniem prokuratoryi popierał oskarżenie i domagał się potwierdzenia pytania głównego zast. prokuratora dr. Słoniewski, imieniem obrony zaś wygłosił długą mowę dr. Lewicki.

Po krotkiem *resumé* przewodniczącego, sędziowie przysięgli udali się na naradę, której wynikiem było jednogłośne potwierdzenie pytania głównego co do morderstwa. Na tej podstawie trybunał wygłosił wyrok, skazujący Mirosława Siczyńskiego na karę śmierci przez powieszenie.

Obrona zgłosiła zażalenie nieważności.

* * *

Proces Siczyńskiego wywołał nietylko we Lwowie, ale i w całym kraju ogromne zainteresowanie. Straszna tragedya kwietniowa tkwi jeszcze żywo w pamięci polskiego społeczeństwa, jej szczegóły nie zatarły się dotąd w umysłach, więc też epilog był oczekiwany wśród wielkiego naprężenia.

Wstęp do sali rozpraw był bardzo ograniczony, do wnętrza więc gmachu dostała się prócz rodziny oskarżonego tylko garstka publiczności. Za to w ulicy Batorego, w pobliżu gmachu sądowego, zebrały się zwłaszcza pod wieczór, kiedy oczekiwano wyroku, nieprzeliczone tłumy publiczności. Pod sam gmach, policya i żandarmerya, skonsygnowane w znacznej liczbie, niedopuszczały nikogo, obawiano się bowiem zamieszek i demonstracyi ze strony ruskiej.

Spokoju jednak przez cały dzień niezakłócono. Także wiadomość o zasądzającym wyroku przyjęto w ciszy i z godnością. Bo społeczeństwo polskie nie pragnęło krwi mordercy, oczekiwało tylko sprawiedliwego osądzenia czynu. Wyrok ten miał być też osądzeniem całej polityki ukraińskiej partyi, polityki nienawiści i terroru. Więc widmo czekającej młodego fanatyka szubienicy, głębokie i wstrząsające wywarło wrażenie.



Morderca namiestnika Potockiego przed sądem
Oskarżony Mirosław Siczyński.



Morderca namiestnika Potockiego przed sądem: Obrońca dr. Zahajkiewicz konferuje z matką i siostrami podsądnego.



Morderca namiestnika Potockiego przed sądem Matka mordercy i jedna z sióstr jego przed gmachem sądu przy ul. Batorego.



Morderca namiestnika Potockiego przed sądem: Oddział żandarmeryi, patrolującej w ul. Batorego.



Świadek, komisarz policyi Bihun.

Meeting Krakowski.

(Do illustracyi na str. 10).

Wyścigi konne, pomimo ujemnych swych stron, jak hazard przy totalizatorze, posiadają jednak doniosłe znaczenie dla oceny krajowego chowu koni. W czasie zapasów wyścigowych odbywa się bowiem jakby przegląd koni poszczególnych stajni, które zwycięstwami swych wychowanków, wykazują roczny dorobek.



Morderca namiestnika Potockiego przed sądem: Adw. dr. Zahajkiewicz, jeden z obrońców Siczyńskiego.

I pod tym względem tegoroczne wyścigi krakowskie wypadły bardzo dodatnio, okazało się bowiem, że klasa galicyjskich koni półkrwi stoi niezmiernie wysoko, w bardzo małym tylko stopniu ustępując najlepszym koniom zagranicznym. Natomiast co do strony zewnętrznej, tegoroczny pięciodniowy meeting wyścigowy na torze krakowskim nie udał się tak świetnie, jak to bywało niegdyś. Złożyły się na to najrozmaitsze przyczyny, zwłaszcza niepewna pogoda w dwu ostatnich dniach wyścigowych, a spiekota w dni pierwsze.

Ogólny wynik tegorocznych wyścigów konnych okazał się świetny, zwłaszcza dla stajni Zdzisława hr. Tarnowskiego z Dzikowa. Dwa konie półkrwi chowu dzikowskiego, „Danusia" i „Kulik", były w każdym biegu, do którego stawały, faworytami publiczności nawet przeciw koniom pełnej krwi i odnosiły niezawodne zwycięstwa. Mniej szczęśliwym był ten rok dla stajni pp. Zangenów, których konie dopiero w ostatnim dniu odniosły parę ładnych zwycięstw.



Morderca namiestnika Potockiego przed sądem: Rodzina Siczyńskiego przed gmachem sądu.



Świadek Kaniak (X) woźny namiestnictwa.

Zabójstwo w Krakowie.

Straszny wypadek wydarzył się w ubiegły wtorek na rynku kleparskim w Krakowie. Na wozie chłopskim, których w dniach targowych gromadzi się tam zawsze bardzo wiele, siedziało dwóch włościan, Wincenty Wajda z Toń i J. Golda z Giebułtowa. W chwili gdy dwaj ci włościanie zajęci byli rozmową, przypadł do nich nieznany jakiś mężczyzna i pchnął Wajdę nożem w pierś, poczem szybko uciekł. Napadnięci rzucili się w pogoń, i przy pomocy przechodniów zbrodniarz został ujęty, mimo iż bronił się rozpaczliwie i jednemu ze ścigających go, przeciął tym samym nożem pięć palców lewej ręki. Odprowadzono go na inspekcyę policyi a następnie pospieszono na ratunek ciężko rannemu Wajdzie, który padł bez przytomności na pl. Matejki. Wezwano pogotowie ratunkowe, które po prowizorycznem opatrzeniu rany odwiozło go do szpitala. Tam zmarł nieszczęśliwy wieśniak wieczór, odzyskawszy przytomność na krótką tylko chwilę.

Dochodzenia policyjne wykazały, iż zbrodniarz nazywa się Paweł Dziura, jest robotnikiem z Wyciąż, a policya zna go jako awanturnika. Jakie pobudki skłoniły nożowca do zamachu na życie Wajdy, na razie niewiadomo, wyjaśni to niewątpliwie dalsze śledztwo.

Wypadek na rynku Kleparskim, nie należy niestety do rzadkich w Krakowie. Nożownictwo, ta straszna plaga każdego większego miasta, szerzy się tu w tempie przerażająco szybkiem.

Lada nieporozumienie, najdrobniejsza nieraz błahostka, wywołuje gorszące zajście uliczne czy szynkowne, a w zajściach tych nóż odgrywa zawsze decydującą rolę.

Wedle zeznań naocznych świadków, morderca Wajdy był w dniu krytycznym w stanie podniecenia alkoholicznego. Tuż po spełnieniu zaś zbrodni, wpadł w stan dziwnego, niewytłomaczonego odrętwienia, z którego dopiero po dłuższej chwili zdołano go ocucić.

Lekarze, którzy Dziurę badali podówczas, nie umieli wytłomaczyć przyczyn tego stanu.



Morderca namiestnika Potockiego przed sądem: Grono kolegów Siczyńskiego oczekujących w ul. Batorego na wynik rozprawy. Między nimi przyjaciel mordercy, Cegliński (X).



Zabójstwo w Krakowie: Paweł Dziura.

U wrót śmierci.

Powieść wysnuta z aktów paryskiego archiwum karnego,

przez M. Level'a



— A więc, zgoda — powiedział pan Ledoux na progu swego domu. Jak tylko będziesz miał wolny wieczór, przyjdziesz do nas na obiad.

— Przyjdę z pewnością, a tymczasem raz jeszcze dziękuję za tak miły wieczór...

— To raczej ja winienem podziękować ci. Ale oziębia się, podnieś kołnierz. Czy znasz drogę? Prosto bulwarem Lannes, aż do avenue Henri-Martin. Idąc prędko, zastaniesz może jeszcze ostatni tramwaj... Poczekaj, jeszcze jedna uwaga — czy masz rewolwer? dzielnica nasza niezbyt bezpieczna.

— Nie obawiaj się. Zmuszony do częstych wycieczek nocnych po Paryżu, broń zawsze noszę przy sobie, przytem znam się także i na sztuczkach włóczęgów. Nie odprowadzaj dalej, noc zupełnie jasna, dam sobie radę.

Przy tych słowach Onesime Coche minął trotuar, wszedł na środek drogi i pewnym krokiem ruszył naprzód. Był sam. Z ciągnących się wzdłuż bulwaru ogrodów, z małych willi z zapuszczonemi roletami, z poza których gdzieniegdzie przezierało jeszcze blade światło, płynęła jakaś pogodna cisza, przerywana tylko lekkimi odgłosami jego kroków. Onesime Coche, w którym dziesięć lat pobytu w Paryżu nie mogło zatrzeć doszczętnie dawno minionych wrażeń, wyniesionych z cichego domu rodzicielskiego, poddał się teraz czarowi tej spokojnej, srebrzysto-jasnej nocy, urokowi tych małych willi ocienionych drzewami, a które mu przypominały miejsce urodzenia i dziecięctwa, spędzonego na głębokiej prowincyi. Wspomniał swoich „starych", dawno już śpiących o tej porze, maleńki domek, w którym spędził swoją wiosnę życia, to spokojne, pełne prostoty otoczenie, które porzucił, by szukać szczęścia na wielkim świecie. Paryż nie ziścił jednak jego nadziei. Zamiast sławy dał mu zawody, zamiast dostatku ciężką, niewdzięczną pracę reporterską w jednym z porannych dzienników paryskich.

Wykwintny obiad, stare wina, cygaro wonne, rozbudziły w nim uśpione nadzieje i w chwili tej, gdy nic nie burzyło jego marzeń, ani stukot maszyn, ani szelest papieru, ani woń atramentu, jaka unosi się we wszystkich redakcyach, ujrzał przed sobą, tuż blisko tę rzecz wielką, a tak kruchą, której pragnął zawsze, choć nigdy jej się nie spodziewał: sławę.

Zatrzymał się chwilę, jakby wsłuchując się w tajemne szepty nocy, spojrzał dokoła i zapalając papierosa ruszył wolnym krokiem naprzód. W oddali rozległo się nagle bicie zegara: z dźwiękiem tym rozwiały się i marzenia jego. Nic tak brutalnie nie przywołuje do rzeczywistości, jak niespodziane uderzenie godziny.

— Tak późno! — rzekł do siebie. Północ już minęła, ostatni tramwaj już uciekł. Do dyabła, teraz ani dorożki nawet nie znajdę w tych stronach.

Przyspieszył kroku. Bulwar ciągnął się nieskończenie, otoczony z lewej strony domami, z prawej wałami fortyfikacyjnymi. Co kilkadziesiąt kroków migotało blade światło latarni. Poza tem najmniejszego śladu życia: dokoła martwe ściany domów, czerniejące wzgórza i drzewa ogołocone z liści. Ta cisza, spokój ten absolutny, działały na niego denerwująco. Szedł coraz spieszniej. Po chwili przystanął, zapalił pod drzewem papierosa i miał iść dalej, gdy nagle ujrzał posuwające się w jego stronę pod sztachetami ogrodów trzy cienie...

W każdej innej chwili nie zwróciłby ku nim nawet głowy, lecz późna godzina, dzielnica opustoszała i jakieś dziwne przeczucie, kazały mu mieć się na baczności. Cofnął się za drzewa i począł się uważnie przyglądać.

Długo jeszcze potem pamiętał, iż w chwili tej tak decydującej w jego życiu, zmysły nabrały niezwykłej subtelności. Oczy przenikały ciemności nocy, odkrywając w niej masy drobnych szczegółów, a ucho przynosiło mu nawet najmniejszy szmer. Chociaż był odważny, a nawet zuchwały, wziął do ręki rewolwer, który dodawał mu pewności siebie. Tysiące niejasnych myśli tłoczyło mu się w głowie. W kilku sekundach odczuł niespokojność, jakiej człowiek doznaje zazwyczaj w trwodze; między jednem a drugiem uderzeniem serca przebywał całe swe życie dotychczasowe. Pojął dokładnie grożące mu niebezpieczeństwo.

Cienie te wolno zbliżały się ku niemu. Gdy już tylko kilka kroków dzieliło go od nich, zatrzymały się nagle. Wówczas przy świetle latarni mógł przyjrzeć się im dokładnie, śledząc bacznie najmniejszy ich ruch.

Było ich troje — dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Niższy z nich trzymał pod pachą duże zawiniątko, zapakowane w gałgany. Kobieta zwracała głowę na wszystkie strony, przysłuchując się pilnie, jakby w obawie, by jakiś niewidzialny świadek nie odkrył ich w tem ustroniu. Po chwili, gdy nic ciszy nie mąciło, mężczyzna z zawiniątkiem i kobieta cofnęli się poza krąg światła rzucanego przez latarnię, podczas gdy drugi mężczyzna postąpił krok naprzód i opierając się o żelazny słup latarni, przytknął czoło do zimnego metalu. Wygląd jego był straszny; śmiertelnie blada twarz, zapadnięte policzki, szerokie dłonie załamane nad głową o potarganych czarnych włosach, zdradzały ostatni stopień wycieńczenia. Po przez palce ściekała mu z głowy krew, znacząc się ciemnemi plamami na twarzy i ubraniu.

— Poco tam stoisz? — zapytała półgłosem kobieta.

W odpowiedzi jęknął niewyraźnie:

— Źle mi, już nie wytrzymam.

Podeszli ku niemu; mężczyzna składając tłomok na ziemi mruczał niechętnie:

— Pieścić mu się zachciało!

— Chciałbym ciebie widzieć, jakim to ty byłbyś, gdyby cię tak urządzili. Masz, popatrz.

Opuścił ręce, pokazując pomiędzy pozlepianymi włosami oderwany od kości ogromny płat skóry, poza którym widniała straszna rana, ciągnąca się w poprzek całego czoła.

Kobieta ulitowała się nad nim, wyjęła z za stanika chustkę i poczęła ocierać delikatnie ranę. Potem, gdy krew na chwilę zatamowana, znowu popłynęła, wyrwała z zawiniątka kilka szmatek i przewiązała niemi czoło. Ranny zgrzytał z bólu zębami, wykrzywiając co chwila twarz w jakiś wstrętny grymas. Drugi mruczał niechętnie:

— Cały pakunek roztrzęsiesz!

— Trudno, co robić... — odpowiedziała kobieta, nie odejmując rąk od zakrwawionego czoła. Tamten ukląkł na ziemi, zawiną! jako tako tłomok, poczem podniósłszy się, wziął go pod pachę i czekał w milczeniu. Gdy kobieta obwiązała ranę i powalane krwią palce wycierała o fartuch, rzekł patrząc w jej oczy.

— Ręce trzeba wymyć, tak się nie wytrze, rozumiesz?

Następnie trójka cała cofnęła się w cień i szybko ruszyła naprzód, idąc tuż przy ścianach. Nagle kawałek gałęzi spadł z drzewa koło nich. Zatrzymali się odrazu, zacisnęli pięście i z pochylonemi naprzód głowami oczekiwali ataku. Coche ujrzał wtedy poraz ostatni rude włosy kobiety, wykrzywione usta człowieka z zawiniątkiem i ohydną głowę rannego, obwiązaną do połowy brudnemi, zakrwawionemi szmatami. Po chwili, nie słysząc najmniejszego szelestu, ruszyli dalej i skręcając w bok, zniknęli w ciemnościach nocy poza fortyfikacyami.

Wtedy dopiero Coche, który czuł dobrze, że gdyby go spostrzegli, byłby w tej chwili trupem, odetchnął spokojnie, puścił rączkę rewolweru, który trzymał cały czas w pogotowiu i pewny, że już nie grozi mu niebezpieczeństwo, począł rozmyślać.

Wspomniał przedewszystkiem, iż przyjaciel jego Ledoux miał racyę, przestrzegając go, że dzielnica ta nie jest bezpieczną, potem przyszły mu na myśl słowa, których nieraz już użył w swych artykułach, iż „służba policyjna jest źle zorganizowaną", wreszcie postanowił jak najspieszniej dojść do avenue Henri Martin. Zaledwie jednak postąpił kilka kroków, gdy naraz stanął wstrzymany swym instynktem reporterskim.

Ta „piękna trójka", z którą dopiero co zawarłem nieosobistą znajomość — mówił do siebie — z pewnością musiała urządzić coś ciekawego. Ale co?... Czy to był napad uliczny, czy zwykłe włamanie?... Sądząc z rany jednego z nich, należałoby trzymać się pierwszej hipotezy, ale ten pakunek, który niósł tamten, przemawia za drugą alternatywą. Włóczęga napadający w zaułku na przechodnia, znajduje przy nim tylko woreczek z pieniądzmi, portfel z papierami i trochę biżuteryi, a to wszystko nie może stanowić tak wielkiego pakunku.

Widziałem zaś dokładnie zawinięte w łachmanach różne przedmioty metalowe. Jeżeli się mylę, w takim razie i uszy moje musiałyby być również niedoskonałe jak i oczy, a słyszałem wyraźnie przy składaniu tłomoka na ziemi, głośne tykotanie zegara ściennego. Co zaś do rany... to mogła powstać z kłótni i walki o podział zdobyczy... a może z tylko wskutek upadku na coś twardego, naprzykład na róg marmurowego kominka?... To możliwe... W każdym razie włamanie wydaje mi się najprawdopodobniejszem. A więc? Należy wrócić się jak najprędzej za nimi, albo też starać się odkryć dom, w którym złożyli wizytę. Straciłem jednak na rozmyślaniu jakie dziesięć minut i moja trójka z pewnością jest już daleko. Przypuszczając nawet, że odnalazłbym ich, cóż poradzę sam przeciw trojgu. Zresztą, nie do mnie należy ich chwytanie. Jedyną rzeczą, godną w takim wypadku detektywa-amatora, jest odszukanie złupionego domu. Nikt oprócz mnie nie wie o popełnionej grabieży. Widziałem dobrze, z której strony szła ta hultajska trójka. Ponieważ zaś wzrok mój pomimo nocy rozróżnia przedmioty na przestrzeni mniej więcej trzystu metrów, a więc na tej odległości ujrzałem poraz pierwszy te trzy cienie. Należy teraz dojść do tego punktu, a tam zastanowimy się, co dalej robić?

Ruszył więc bez zwłoki naprzód, oglądając się co chwila dla zmierzenia przebywanej przestrzeni. Szerokość jego kroku wynosiła mniej więcej 75 centymetrów, po naliczeniu tedy czterystu kroków zatrzymał się, wnioskując, iż kradzież tę musiano popełnić gdzieś w pobliżu. Zeszedł ze środka drogi na trotuar i począł iść wzdłuż żelaznego ogrodzenia.

W ten sposób dotarł do małych zamkniętych drzwiczek. Dom znajdował się w głębi ogrodu, po przez spuszczone rolety widniało jednak światło, „a więc nie tutaj" — zawyrokował i nie zatrzymując się, szedł dalej. Wszędzie dokoła ta sama cisza, nigdzie najmniejszych śladów włamania. Opanowało go tak silne zwątpienie, iż chciał już wracać do domu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NADESŁANE.

Za rubrykę niniejszą Redakcya nie pr zyjmuje odpowiedzialności.

Zakład dentystyczny Antoniego Rybarskiego w Jaśle otrzymał na wystawie w Paryżu i Antwerpii złoty krzyż i dwa medale honorowe jako największe odznaczenie za prace z dentystyki.

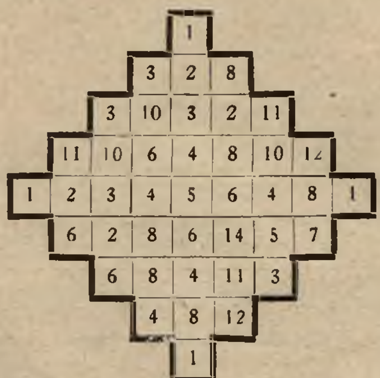
Szarada.

Ułożył Z Gaudnik.

Pierwsza i trzecia jest bliziutko Ciebie,
Jest Ci niezbędną w najmniejszej potrzebie.
Pierwsza i druga jest tamtych sukienka,
Podpada modzie, gdy nosi panienka.
Całość się zawsze powtarza w Krakowie.
Na nią się cieszą dzieci i panowie.

Arytmogryf.

Liczby zastąpić literami w ten sposób, by litery środkowe, czytane w pionowym i poziomym kierunku utworzyły nazwisko wynalazcy z XV. wieku.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Dziki zwierz. 3. Cesarz rzymski. 4. Kraj w Azyi. 5. ? 6. Jeden z rodów królewskich. 7. Port we Francyi. 8. Przeciąg czasu. 9. Spółgłoska.

Szarada.

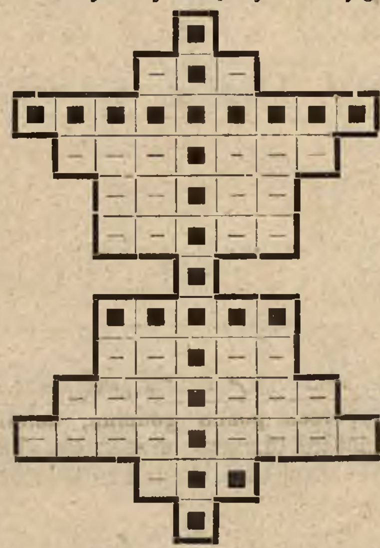
Ułożył M. Czeczółka Limanowa.

Pierwsze jest wesołe, często ruchu nada,
Drugie zaś potwierdza, że ktoś coś posiada;
A trzecie i czwarte, w ogrodzie ujrzycie,
Szczególnie w tych miejscach, kędy groch sadzicie,
Całość to nauka, uslyszysz ją w szkole,
Gdzie się jej uczą o trudzie i mozole.

Logogryf.

Ułożył J. Januszkiewicz z Podgórza.

Kwadraty i kreski zastąpić literami w ten sposób, by litery wstawione w miejsce kwadratów, czytane w kierunku pionowym dały imię i nazwisko zapomnianego malarza polskiego, w trzecim zaś i ósmym rzędzie tytuły dwóch jego utworów.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Inaczej wół. 3. ? 4. Część świata. 5. Nauka o obyczajach. 6. Inaczej bojaźń. 7. Spółgłoska 8. ? 9. Narzędzie rolnicze. 10. Instrument muzyczny. 11. Naczynie do sporządzania herbaty, zdrobniale. 12. Imię twórcy ołtarza w kościele Maryackim. 13. Spółgłoska.

Zagadka.

Ułożyła J. Gomulińska Bóbrka.

Kreski i kwadraty zastąpić literami w ten sposób, by litery wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzyły nazwisko znanego malarza polskiego.



Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w zachodniej Galicyi 2. Owad. 3. Inaczej związek. 4. Okres czasu. 5. Litera nieznana w alfabecie polskim. 6. Samogłoska.

Krzyż magiczny.

Podane litery tak poprzestawiać, by dały trzy słowa równobrzmiące tak w pionowym jak i w poziomym kierunku.

			1	2	3		
			a	a	a		
			a	d	e		
1	e	g	g	i	j	k	m
2	m	n	n	n	o	o	o
3	o	o	o	s	s	t	t
			k	d	z		
			z	y	y		

Znaczenie wyrazów: 1. Potrawa z drobiu lub ryb. 2. Robak 3. Ciała stożkowate.

Zagadka literacka.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

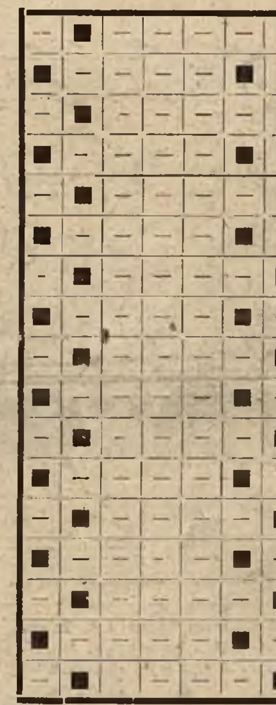
W miejsce kwadratów i kresek wstawić tytuły utworów Orzeszkowej, w ten sposób, by litery początkowe czytane z góry na dół utworzyły nazwisko polskiego powieściopisarza.



Logogryf.

Ułożył Maryan z Pikułowic.

W miejsce kwadratów i kresek wpisać wyrazy w ten sposób, by litery wstawione w miejsce kwadratów czytane od lewej strony z góry wokoło dały imię nazwisko i tytuł powieści powieściopisarza polskiego.



Znaczenie wyrazów: 1 Przyrząd używany przez kawalerzystów. 2. Rodzaj rowerów. 3. Żyjątka mikroskopijne. 4. Starożytna nazwa Algieryi. 5. Żartowniś 6. Autor powieści »Tarło«. 7. Ptaki śpiewające. 8. Dwa imiona żeńskie. 10. Przyczyna dla której widzimy. 10. Imię żeńskie. 11. Imię męskie. 12. Miasto (forteca) w gubernii Riazańskiej. 13. Olbrzymi mitologiczni. 14. Powieściopisarz polski. 15. Dawna nazwa rozmowy. 16 Człowiek podeszły w latach. 17. Zwierzęta dzikie (rodzaj psów).

Za trafne rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy utwór Weyssenhoffa; »Narodziny działacza«.

Rozwiązanie zagadek z Nru 25.

Szarada.

Tytoń.

Logogryf.

Piotr Skarga.

Logogryf.

Stanisław Kaczor Batowski.

Łamigłówka.

Dobry żart tynfa wart.

Szarada.

Korale

Logogryf

Adam Mickiewicz — Sonety Krymskie.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: F. Karczewski Kraków, O. Górkowa Chyrów, J. Dobrzelewska Warszawa, K. Siennicki Lwów, Z. Bukowski, L. Złochowski Zaleszczyki, Z. Woitkowska Tarnopol, I. Wielgus Wadowice, J. Możdżeński Wiedeń, Kwapiński Równe, B. Leszczyński Borysław, Z Gaudnik Stary Sącz, W. Muszyński Lwów, J. Nowicki Włocławek, W. Józefik Zbik, S. Kowalski Kalisz, H. Kijeńska Łódź, Władziutta z Rabki, F. Majewska Kraków K. Fuchs Czeremchów, J. Polkowski Wilno, M, Arbesbauer Lwów, Dolnicki Przemyśl, A. Rojek Lwów, P. Drzewiecka Bełzec, K. Tarkowski Kraków, A. Bucsoń Bóbrka, G, Niepokój Krosno, A. Piliński Farnopol, J. Pieniążek Lwów, J. Diehl Stryj, E. Katarzyńska Kraków, A. Rotter Rtanisławów, A. Jerin Częstochowa, S. Kubacki Piotrków, A. Woyde Warszawa, R. Czaplicki Kraków, W. Laskowski Warszawa, J. Gomulińska Bóbrka, Ks. Jan Siengalewicz Betetuja, Halka w Sieniawie, R. Jaworski Kraków, G. Adam Lwów, Gawrońska Kamionka Strumiłowa, E. Lażulińska Alszanica, T. Kapustyński Lwów, W. Stanula Samocice, J. Nikorowicz Ulwówek, O. Tłuchowski Warszawa, E. Miarkowska Przeworsk.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. W. Muszyński Lwów. Prosimy o nadesłanie 35 hal na koszta przesyłki.

MAGAZYN HENRYKA SCHWARZA

TELEFON 43 — KRAKÓW, ULICA GRODZKA L. 13 — TELEFON 43

WEŁNY, JEDWABIE, OKRYCIA, ŻAKIETY, KOSTYUMY, BLUZKI, HALKI
RĘKAWICZKI FRANCUSKIE I ANGIELSKIE • KAPELUSZE »PANAMA«

STANISŁAW STACHOWSKI • Magazyn mebli i Zakład tapicersko-dekoracyjny

Kraków, ul. Sławkowska 6
Telefon Nr. 730

22—34

Poleca swój obficie zaopatrzony magazyn w meble, dywany i dekoracye. Podejmuje się **kompletnych urządzeń** domów prywatnych, jakoteż pensyonatów i innych instytucyj po cenach nader umiarkowanych.

vis à vis hotelu Saskiego
Telefon Nr. 730

Odznaczony dyplomem honor. I Medalem złotym na Wystawie wiedeńskiej 1907 r.
● Zaprzysiężony rzeczoznawca sądowy i oceniacz wojskowy ●

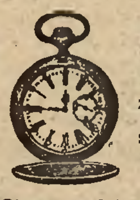
M. AMSTER, Lwów, ulica Jagiellońska 9

Pierwszorzędny Magazyn i pracownia Obuwia

męskiego, damskiego i dziecinnego — poleca znane z trwałości obuwie gotowe na składzie, tylko własnego wyrobu. Zamówienia z prowincyi uskuteczniam szybko. 1—52

Potrzebny jest praktykant

do zakładu cynkograficznego z ukończoną I. lub II. gimnazyalną, realną lub wydziałową. Zgłoszenia w Administracyi naszego pisma ul. Zacisze 7, między godziną 2—4 popołudniu.



Proszę żądać darmo i opłatnie mój bogato illustrow. polski **CENNIK** zegarków, towarów złotych, srebrnych (przeszło 3000 illustracyi).

Pierwsza fabryka zegarków

Hanns Konrad

Ces. i król. nadworny dostawca w **Brüx, Nr. 1148** (Czechy).

Prawdziwe szwajcarskie niklowe anker-remontoir, zegarki systemu Roskopf-Patent K 5 —, 3 sztuki K 14 —. Wolna zamiana lub zwrot pieniędzy 5—2



Zakład artyst.-kamieniarski i budowlany

Józefa Kuleszy

naprzeciw cmentarza w Krakowie
Telefon 759

posiada wielki wybór gotowych pomników z piaskowca, granitu i marmuru. Podejmuje się wykonania grobowców w miejscu i na prowincyi.
5—52

Maszyny do szycia



wszelkich systemów w wielkim wyborze ręczne od 25 złr., nożne od 27 złr.

(Proszę żądać prospektów). **Gramofony** najlepszej konstrukcyi po cenach najniższych, jakoteż i **płyty** z pierwszorzędnych fabryk poleca

Föbus Rosenman

Lwów, ulica Karola Ludwika 27.

Kraków
Sławkowska L. 3
Telefon 516



Kraków
Hotel Saski
Telefon 516

ZDZISŁAW ZDANOWICZ



Magazyn galanteryjny



Skład Bielizny, Kapeluszy, Obuwia amerykańskiego i przyborów do podróży.

Cenniki illustrowane na żądanie darmo i opłatnie

Zarobek

dla wszystkich zawsze i wszędzie

daje

Pierwsze galic. przedsiębiorstwo domowych robót pończoszkowych na płaskich :: maszynach do plecenia ::

Libal i Spółka

zarej. towarzystwo handlowe
we Lwowie
ulica Gródecka 39,9, I. p.

Skład najlepszych maszyn i materyałów

Bezpłatna nauka we Lwowie i na prowincyi.

Żądajcie wyjaśnień!

Cenniki illustr. na żądanie darmo i opłatnie

Największy WYBOR LALEK na Galicyę!



Fabryka Lalek, KRAKOW, ul. Wolska 1/a

Specyalność: Lalki z prawdziwemi włosami, blaszanemi głowami (skórzane) i w krakowskich strojach. — Buciki, pończoszki, kapelusiki, parasolki, zegarki, mebelki **WÓZKI** itp. na składzie.

Paski damskie gumowe, skórkowe, szychowe i gurtowe

Rękawiczki niciane, jedwabne i Mitenki krótkie i długie

poleca po umiarkowanej cenie firma

Stefan Porębski

Kraków, obecnie Rynek główny Nr. 32, Linia C-D.

Zmiana lokalu! 20—29

Magazyn Bielizny i konfekcyi męskiej Braci Bilewskich w Krakowie przeniesiony został do pierwotnego lokalu **obok kościoła NP. Maryi**

GRANICA **Stacya kolei W.-W.** Ruble, austryackie korony, franki, marki itp. sprzedaje i kupuje najkorzystniej dla pasażerów **Specyalny Kantor wymiany** wszelkich monet **WŁADYSŁAWA HERTZA** na stacyi »GRANICA«. Pociągi tak przychodzące jak i odchodzące zatrzymują się przeszło godzinę. Kantor znajduje się w westybulu dworca naprzeciw kas biletowych stacyi »GRANICA«.